



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 4 lipca 1948 r.

Nr 27 (188)

JERZY BOREJSZA

NA UDEPTANĄ ZIEMIĘ*

Córka małego chłopca z Sieleckiego, osiemnastoletnia Helena L. odpowiada na ankietę ZWM: „Jaki chciałabym obrać zawód? Co temu sprzyja i co przeszkadza?”

W swojej odpowiedzi opisuje okres okupacji, kiedy pracując jako służąca u jednej z nauczycielek, mimo upokorzeń ze strony koleżanek uczyła się, w ubiegłym roku otrzymała małą maturę, obecnie zaś chodzi do liceum pedagogicznego. Mówi o sobie tak:

„Poświęcam się pracy nauczycielskiej nie tyle z zamiłowania ile z dwóch innych przyczyn. Nie powiem, abym nie lubiła tego zawodu, nie! — myślę, że będę dobrą nauczycielką, bo lubię w ogóle pracę społeczną, ale cała moja dusza i serce rwie się do czegoś innego, na co nie mam zupełnie możliwości.”

O czym to marzy osiemnastoletnia Helena?

Odkłómy na chwilę ankietę Heleny L. i sięgnijmy do najpoczytniejszej przed wojną książki dziewcząt w tym wieku, „Trędowatej” Heleny Mniskówny. Steficia Rudecka marzyła o ordynacie Michorowskim. Dla niej awansem społecznym, nieosiągalnym awansem biblioteczni było wkrócenie do środowiska klasowo uprzywilejowanego. Te drobnie-śszczełnienienia o nieosiągalnym środowisku arystokracji, nauzanone i wpajane przez literaturę piękna i literaturę kuchenną sady się tak powszechne wśród większości młodych dziewcząt, że między Steficia Rudecką z jej wypaczonym pojęciem klasowego awansu a marzeniami tysięcy dziewcząt w Polsce zrodziła się wspólnota najistotniejszej tęsknoty i pragnień. Już Boy-

„Przeżyłam wreszcie” — odbrnę-wił sentymentalizm „Cierpien młodego Wertera” i wykazał, że sprawa miłosna, która doprowadziła do samobójstwa jest tylko zewnętrznym powłoką dla istotnego dramatu młodzieńca, wyrzuczonego za drzwi domu człowieka, który dlań stano-wił nieosiągalny typ klasowy, rękomicę społecznego awansu. Tam-niejmnie masowego oddziaływania literatury tkwi właśnie we współ-dźwięku tych stwarzanych, sugero-wanych, narzucanych przez lektu-rę tęsknot — z emocjami jej odbio-rców. Od tej literatury masowej za-leży dalsze kształcenie — zdro-wych czy wypaczonych — typów kulturowych, a więc społecznych.

„Trędowata” Mniskówny nie jest jeszcze książką przebrzmiałą. Zobaczymy, czym karmi marzenia dziewcząt, czytających ją jeszcze dzisiaj? Otwieram książkę i czytam:

„Postać Wildemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmił, niby wzburzone wody Oceanu. Lamiona potężne, ramiona, mógące skrzyżować wulkan, otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi, do wyżyn rzęszloneczni-nych, do apotezy boskiej szczęśli-wości.”

Steficia mającyła z jego idea-łem w całej swjej istocie.”

Rzecz jasna, Steficia Rudecka nie była typową dla środowiska nau-czycielskiego. Bardziej typowa by-ła „Siłaczka” Zeromskiego. I nau-uczycielstwo i bibliotekarstwo w Pol-sce trwało w nieustannej walce z trędowatoszczyną.

Wróćmy teraz do wypowiedzi uczen-nicy liceum pedagogicznego. Jakież są jej niedoścignione mar-żenia?

„A teraz co do moich marzeń chcia-labym bardzo, marzę o tym całe życie, aby być lotnikiem, ale tyle przyczyn nie pozwala mi na-wet myśleć o tym. Przede wszyst-kim warunki materialne, poza tym zdrowie (właściwie niby jestem zdrowa, ale trochę serce „nawala” i oczy mam słabe) no i wiele przy-czyn tak, że to pozostanie na za-wsze moim marzeniem, ale tylko marzeniem. I to jest jedyna rzecz, jedne marzenie, które nie może mi się spełnić w życiu. Bo poza tym wierzę, jestem pewna, że wszystko w życiu się spełnia, jeśli człowiek chce tego i dąży doń.”

Zestawmy te dwa światy marzeń: Steficia Rudeckiej o ramionach — skrzydłach ordynata Waldemara Michorowskiego i marzenia córki małego chłopca ze wsi Skórcze, która realnie awansowała ze służą-cej na uczennicę liceum pedagogicz-

nego i marzy o ramionach — mo orze o samolocie, którym ona sama będzie kierować. Dla niej „Trędowata” jest książką śmiesz-ną. Toć to dwa typy psychiczne, dwa typy kulturowe, i dwie różne epoki.

Jeden typ psychiczny i jeden typ konfliktu, bez względu na to czy odnajdziemy go na śmietniku Mniskówny, w pięknej powieści Weysenhoffa „Soból i panna” czy w „Cierpieniu młodego Wertera”, wyraża drobniemięszczanłą tęsk-notę wdarcia się do gnijącej, ale uśw.eticnej wiekami arystokracji klasowej. Drugi typ to ten, o który walczili dawniej pracownicy kultu-ralno-osiwiatowi i który rodzi się w naszej epoce Polski Ludowej razem z realną możliwością awan-su społecznego, wejścia do nowego środowiska, do świata nowych form ustrojowych, społecznych i kulturalnych.

Rozpocząłem od dwu przypadko-wych zestawień, by na drobnych, ulamkowych zjawiskach wykazać, że walka dwu form, dwu typów kulturalnych, drobniemięszczań-skiego i socjalistycznego — trwa. Typ przebrzmiały, lecz ciągle ma-jący swój krąg oddziaływania i wypierający go typ nowy współ-istnieją i ścierają się w naszym ustroju. Sprawa jest znacznie po-ważniejsza, aniżeli się na pozór wydawało i wymaga wiekszego po-głębienia. Rzecz jasna, rozwój sił gospodarczych i społecznych w o-światcznym obrachunku zadecyduje o nowym typie kultury. Ale proces powstawania nowej kultury można wypaczyć, opóźnić i wyko-leić, jeżeli się nie rozpatrzy kry-tycznie tych wartości — może nie tradycyjnej kulturalnej, ale modeli

właściwych, które narodziły się wwa-c; jeżeli nowe wartości, które niewątpliwie narastać będą od do-łu, ulegną wykrzywieniu pod urokiem cieni kulturalnej przeszłości.

Na dnie bowiem sporów, które rozgorzały na łamach prasy lite-rackiej, a z których raz po raz wychyla głowę obawa przed rzeko-nym obniżeniem kultury, tkwi błędna, wsteczna i szkodliwa teo-ria, że oddziaływanie kultury od-bywa się jednostronnie, jednokie-runkowo: z góry w dół. O tej teo-rii pisze Józef Chałasiński „Spo-łeczeństwo i wychowanie” — (stro-na 102 — 103).

„Według tej teorii kultura to proces aktywny, twórczy, dokonu-jący się na szczytach społeczeń-stwa, i bierny, odbiorczy — na dół. Niższe warstwy społeczne nie biorą aktywnego i twórczego udzia-łu w kształtowaniu się kultu-ry. Nie tu nie idzie od dołu do gó-ry, tylko wszystko od góry do dołu. Zagadnienie kultury to zagadnienie elity. Demokratyzacja kultury z tego stanowiska to sprawa rozsze-rzania rekrutacyjnej bazy elity na niższe warstwy i upowszechniania kultury z górnych warstw do dol-nych.”

„Ta teoria kultury — powiada dalej Józef Chałasiński — nie jest zgodna z historycznym procesem kształtowania się kultur. Proces przenikania wartości kulturowych nie odbywa się tylko w jednym kierunku z góry na dół. Szedł on także w kierunku odwrotnym, z dołu do góry.”

„Proces demokratyzacji polega nie tylko na tym, że wzory kultu-rowe klas wyższych przenikają do klas niższych, lecz także na tym, że wzory kulturowe tzw. klas niż-szych przenikają do klas tzw. wyż-szych i nabierają charakteru obowiązującego dla całego społeczeń-stwa.”

Sądze, że ta niewątpliwa prawda pozwoli nam określić nie tylko stan obecnego czytelnictwa, ale i proces, kierunek rozwoju czynni-ków, które wciąż będą pęcznieć, wzrastać i gorować. To jeszcze ma-ło stwierdzić, że Sienkiewicz i je-go Skrzetuski czy Wołodyjowski są jeszcze dzisiaj najbliżsi młodzie-ży. Należy się także zastanowić, dlaczego ten sam Sienkiewicz jest stosunkowo najmniej popularny na Górnym Śląsku, a jednym z naj-bardziej czytanych pism młodzie-żowych jest „Skrzydłata Polska”. Otóż w miarę postępu przemian socjalnych, Wołodyjowski i Skrze-tuski, typy przeszłości, maleją i stają się nierealnymi członkami wobec współczesnego bohatera pra-cy. I dlatego należało by naukowo zbadać i ustalić, w jakim kierunku powinna iść świadoma praca bi-bliotekarza — oświatowca. Bo jak słusznie twierdzi Józef Chałasiń-ski (tamże — str. 106): „Naukowe przeciwstawianie wyników myśle-nia polega na tym, że przedstawia-

się nie tylko wyniki, lecz także drogę do wyniku i sposób jego o-sięgnięcia tak, by można było wy-nik sprawdzić i krytycznie ocenić.”

Kto zaimię się oceną i wylimi-nowaniem „trędowatych” mitów, kto będzie się domagał nowego ty-pu bohatera i narzucał go nowej literaturze? Rzecz jasna — nowy

Trzebinie czy wreszcie wicedyrektor cukrowni Mławy, spawacz Piłkows-ki Antoni, oto linia kierunkowa, która stanie się wzorem dla „tek tysięcy, milionów dążących do spo-łecznego awansu ludzi z ludu, któ-rzy oddziaływać będą na wzorze-nie nowych dóbr i nowych war-tości.

Jakże śmieszni są ci, którzy wychodząc z zasady, że kultura idzie z góry w dół, przypuszczają, iż nowy konsument przyjmie wszystko, co mu podaje literatura schyłkowa z całym jej tematycz-nym i formalnym mętniactwem i rozkładem. I jak dziecinni, jeśli się im wydaje, że ideologicznie mętne utwory, rozrzucające samotność człowieka czy też fikcyjne kon-likty psychologiczne będą łączy-wie rozechwytywane, z chwilą kie-dy ustawa biblioteczna albo niska cena pozwoli zapelnic nimi półki księgarskie. Ci, dla których elitar-no-inteligentni język, zbutwały, zamary, obciążony pseudonaukowy-mi swaćdelkami puste sownej ornamentyki jest nienaruszalnym niedostępnym tabu, ci którym trontadracki nacjonalizm zastępu-je patriotyzm ludowy, ci wresz-cie, których snobizmowi schlebają upostaciowanie pod różnymi maskami teorie antynaukowe, ostatni krzyk mody zagranicznej — to lu-dzie najzupełniej obyć tak walce o socjalizm, jak i upowszechnianiu kultury. O nich mówi poeta Czes-ław Miłosz:

„...ci irracjonalni
Świat widzą na kształt wielkiej
bali
A każdy grzebie się tam
w magmie
No i wybiera to co pragnie.”

Mylą się jednak i ci beznadzi- optymiści, którzy sądzą, że prze-miany kulturalne mogą przyjść au-tomatycznie, mechanicznie, same z siebie w ślad za procesami gospo-darczymi czy z rozwojem techniki. Ze wystarczy tylko zrealizować ustawę biblioteczną, zrobić kilka ksiąg smi o różny w tytulech, bibliotekarza — dziaacza oświato-wego sprowadzić do roli rozdziel-ającego książki — i wszystko się samo zrobi.

Jest to pogląd błędny i szkodli- wy. Procesami kulturalnymi nale-ży kierować: wypełniać je treścią, plenić chwasty, słowem prowadzić świadomą i planową ofensywę. Jest to wielce radosny objaw, że lepsza część młodzieży zdaje sobie z tego sprawę. We wspomnianej an-kiecie osiemnastoletni Franciszek D. (pseudonim Swarówek), syn ro-botnika z Katowic pisze:

„Koledzy! Kończcie obecnie liceum pedagogiczne i otwiera się przede mną perspektywa pracy wycho-wawczej. Niejednemu może powie — wariat, nie miał gdzie iść to po-zedł do liceum pedagogicznego, aby zarabiał na posadzie marie sześć tysięcy złotych. Zaprzeczę te-mu śmiało, gdyż znam sam siebie i zresztą nie jestem już taki młody, mam lat osiemnaście. Opiszę krótko, co skłoniło mnie do tego, że postanowiłem wybrać zawód nauczycielski. Istnieje teraz pyta-nie — dlaczego? Otóż widziałem w swoim krótkim życiu niejeden, wi-działem setki polskich dzieci o wy-paczonych charakterach (sam bo-wiem przez przebywanie podczas okupacji z ludźmi najgorszego po-koju — miałem też wypaczony charakter, który jednak dzięki sil-nej woli i samokształceniu zdola-łem naprawić) postanowiłem więc pracować na polu wychowawczym, aby naprawić to, co zepsuła oku-pacja, aby naprawić i wykształcić i postawić na odpowiednim poziomie charakter polskiej młodzieży. Po-czułem w sobie powołanie do zawo-du nauczycielskiego i wstąpiłem do liceum pedagogicznego, które w tym roku szkolnym kończę. Móg-łem sobie wybrać inny zawód, a jednak nie wybrałem, bo przecież praca nad maszyną czy papierem nie daje takiego zadowolenia jak praca nad żywą istotą, jaką jest dziecko — praca nad wyrabianiem jego charakteru. Dużo mówi się dzisiaj o maszynach, fabrykach, wynalazkach, a za mało o czło-wieku, który przecież jest motorem tej wielkiej maszyny, jaką jest przemysł. Często padają zdania — nie-długo to człowiek nie będzie musiał pracować w ogóle. Bo wszyst-ko za niego zrobią maszyny, a on będzie nimi tylko kierował, to do-piero będzie raj na ziemi, aby wreszcie nadszedł ten czas. Nadej-dzie — a nawet już nadchodzi w postaci nowej ery — ery atomowej. I znowu muszę zaprzeczyć temu, że wszystko za człowieka zrobią ma-szyny — nie, wszystkiego nie zro-bią, nie będą mogły nauczać i wy-chowywać młodych pokoleń, bo za-nda maszyna nie zastąpi nauczycie-

la. Gdy o tym pomyśle to czuję się naprawdę szczęśliwy, że obrałem sobie zawód nauczyciela. Bo prze-cież wielką jest rzeczą nieumiejęt-nych nauczać.”

W tych prostych słowach Fran-ciszek D. wypowiedział wielką prawdę o humanizmie socjalistycz-nym. I tu zaczyna się rola książki. Dla nas jak i dla każdego oświa-towca nie jest i nie może być rze-czą obojętną, na jakich bohaterach wychowywać się będzie młodzież na jakich wzorach wyrosnie w Pol-sce młody człowiek. Nie jest obo-jętne, czy alkoholizm będzie się na-dal szerzył wśród młodzieży, czy też dzięki systematycznemu oddzia-ływaniu oświatowemu monopolów-kę i samogon wyprze światelca i książka. Jesteśmy wszyscy głęboko przekonani, Rząd również, że Skarb Państwa i wydajność pra-cy w ostatecznym rachunku na tym jedynie zyska.

Nie jest dla nas obojętne czy książka, która dajemy do rąk odbiorcom, zaszczepiać będzie etykę filisterską, cynizm, pesymizm, poczucie osamotnienia, chorobliwy in-dividualizm — czy też etykę czło-wieka społecznego, pracującego zespołowo, humanizm aktywny, twórczy, rewolucyjny, dumę ze swo-jej klasy, swojego kraju i ustroju. Piękne słowa — powie niejeden — ale Wyspiański odpowiedziałby na to: „a tu rzeczywistość skrzeczy”. Półki biblioteczne i księgarniane nie dostarczają tego typu literatury przystosowanej do nowego mo-delu kulturalnego.

Twierdże, że jeżeli jeszcze rok temu podobny pesymizm mógł być uzasadniony, to w ciągu minionego roku, szczególnie za wrocławskiej mowy Prezydenta, sprawa uległa zmianie na lepsze.

Twierdże, że te zmiany nastąpiły u nas bez nacisku i gwałtu, że przychodzą one na fali rewolucji łagodnej, że znośenie rogatki kulturalnej, zamknięcie kulturalnej e-migracji wewnętrznej to proces organiczny, wynikający ze zdrowych przemian wśród naszej inteligenc-ji, szczególnie inteligencji twórczej.

W roku bieżącym ukazało się sze-reg utworów literackich i drama-tycznych, które wyrosły z ducha współczesnego czasu i które wywo-łały nieznanę dotąd w Polsce dys-kusję. Również Związek Zawodo-wy Literatów przejawia dużo do-brej woli zbliżenia się do nowego odbiorcy i nowej rzeczywistości. Masowe wyjazdy literatów i spo-tkania z czytelnikami, choćby taki wyjazd Marii Dąbrowskiej do Isteb-nej, dokąd jak na pielgrzymkę zje-chało się kilka wiosek, ankiety pi-sarzy na wsi — to początek prze-mian, których nie wolno lekcewa-żyć.

Stusnie ktoś zauważył, że z punktu widzenia naukowego, rela-cje autorów miastowych o stanie czytelnictwa powinny być krytycz-nie opracowane, tak samo zresztą jak relacje autorów wsiowych. Nie należy jednak zapominać, że naj-ważniejsze jest tu dwustronne od-działywanie tych wyjazdów.

Wyniki ostatnich konkursów świadczą, że fabryka i wieś wylo-niła niewątpliwie zastępy nowych pisarzy, którzy zasila Związek Li-teratów. Z proletariatu wyrosnie „proletariusz pióra” — jak nazy-wał literata Zeromski.

W roku bieżącym ukazała się bogata literatura popularno - nau-kowa. A to jest bardzo ważne — mamy już warsztat pracy oświato-wca. Zaczynając od rzekwitu kla-sycznej kultury greckiej, każdy okres postępu był okresem oświe-cenia, okresem nawrotu do zasad naukowych, do jasnej skrytalizo-wanej myśli, do walki z mętniactwem i irracjonalizmem. W demo-kracji greckiej i w społeczeństwach elitarnych szkolenie rzędzących wy-gładało inaczej niż w demokracji socjalistycznej, która znosi uprzy-wilejowanie polityczne, stanowe i gospodarcze, gdzie nauczanie i pod-noszenie poziomu kulturalnego dla rządu krajem w duchu uspo-łecznienia psychiki ludzkiej sta-je się powszechne i dostępne dla każdego, gdzie tym samym zan-ka podział na grupę rządców i rządz-o-nych.

Hitlerizm, a w ślad za nim wszystkie rządy klik wójkowskich, tych wynaturzonych klik partyj-nych, odwracały się od nauki. Brnę-

(Dokończenie na str. 2)



Narodziny człowieka

Bronisław Linke

konsument. właśnie taka nau-czycielka Helena, której bohaterem może być Zwirko i Wigura, ale już nie ordynat Michorowski.

Awans społeczny, który przybie- ra coraz bardziej powszechno-ma-sowe formy będzie wpływał oddo-łtę i nieustannie na przemiany kulturalne, a tym samym na treść czytelnictwa. Helena L., to prze-cięcie tylko jeden z wielu typów. Chłop Sapiński Feliks z gminy Olszyny z Ziemi Zachodnich pisze: „Już w roku 1946 w lutym przyjechała moja córka i zabrała nas na Zachód. Ona tam pracowała na granicy, jako oficer polityczny. Serce mi się radowało, gdzie to słyszałem, żeby dziecko chłopca było oficerem. Dumny byłbym, to właśnie moje dziecko oznaczone było „Krzyżem Partyzanckim” i miało odpowiednią pracę.”

Tysiące Sapińskich zasiliło kadry oficerskie Wojska Polskiego. Taki awans społeczny — to równocześnie awans kulturalny. Tysiące z tych ludzi znajdzie się na ławach uni-wersytetu, szkół wyższych, szkół rzemieślniczych. Sięgnijmy tylko do cyfr choćby na jednym odcin-ku: ilu jest robotników na stano-wiskach kierowniczych w przemy-sle? Z dniem 1 marca 1948 r. mie-łimy ogółem 10334 robotników — dyrektorów naczelnych, admini-stracyjnych, technicznych, kierownikó-w działów, majstrów; przy czym w przemyśle włókienniczym — 810, węglowym — 2438, hutniczym — 1025, metalowym — 1568. W dniu 31 kwietnia mieliśmy 352 dyrektó-rów — robotników, 743 w wyższym dozorzecze technicznym, 2747 w śred-nim dozorzecze technicznym, 6486 maj-strów, wysuniętych spośród robo-tników.

Słusznie Nosek Michał, obecnie dyrektor naczelny Zaozdrrzańskich Zakładów Budowy Mostów i Wa-gonów w Zielonej Górze, frezer Wopiński Stefan, dziś dyrektor ad-ministracyjno - handlowy fabryki w Łodzi, robotnik Bolesław Szyd-łowski — dyrektor naczelny Fa-bryki Dykt w Skierniewicach, ślu-b-sarz Wodek Leon, obecnie asystent dyrektora w Rafinerii Nafty w

* Fragment referatu, wygłoszonego na naradzie działaczy kultural-no-oświatowych, zwołanej przez „Czytelnika” w Warszawie dnia 27 czerwca 1948 roku.

BOHDAN CZESZKO

KONIEC EDUKACJI

Na drogowym górnym widać na żółtej tabliczce nazwa: Kronenheide. Zaraz pod spodem, na nieochronionej i zaspicowanej z jednego końca deseczce przybitej papowym gwoździem napisano kopijowym ołówkiem: „Gospodarstwo Bocianowski”. Było to określenie miejsca postoju dowódcy pułku. Podobno się tu, miało posmak swojskości: dowódcę pułku, znaczy, gospodarza. Nawet tak wyglądał, kiedy jechał galopem wzdłuż marszowej kolumny rozwalony w siódle niby w fotelu, ciężko tłukąc zadem w grzbiet konia.

Miasteczko nie było zniszczone tylko rozbarbrane, jak topielec, kiedy go napoczną karpie. Domy stały wszystkie i tylko niektóre miały rozczapierzone dachy i powyrwane ściany. Wnętra ich były puste, zanieczyszczone, brakowało mebli i wszędzie stały całe baterie otwartych już dawno słoików systemu „Weck”. Kłapała z nich zielona pleśń porastająca zaśmierdnie konserwy z dyni, z porzeczki, z zielonych pomidorów. Na podmokłej łące, gdzie zbijałyśmy tratwy do przprawy przez rzekę, ugrzązł w świeżej trawie, na świadczewie stoczonych tutaj walk, wrak czołgu „T. 34”. Po rowach wałasy się pierzyny namoknięte i brudne. Nie zastaliśmy tu żywej duszy.

Dni upływały leniwie. Było ciepło i zatrudnieni przy montowaniu tratwy chłopcy pracowali bez mundurów w fanelowych zimowych jeszcze koszulach. Mundurów było szkoda, bo i tak drelich w długich marszach na deszczu i słońcu zetlał i pękał na łokciach w poprzek. Pracowali zatem tak jak przy żniwie, pocili się.

W obiad przyjeżdżała kuchnia i podczas gdy my dobywaliśmy z ołowianek łyżek, aby posilić się nieuchronnie, jęczmienną kaszą, chorąży Chodźko występował komunikat o sytuacji na froncie. Dukął za jadem, brnął poprzez zamazane miejsca. Wodził obgrzyzionym ołówkiem po papierze zadrukowanym na powielacz i tylko końcówce, patriotyczne frazy wychodziły mu gładko, bo były prawie zawsze te same.

— Czego wy, panie chorąży, tak stękać przed całą kompanią? — mówiłem łagodnie, jako że była wiosna a z wiosną staje się tkliwy i dobry. — Daliście kilka egzemplarzy, sami przeczytaliśmy po obiedzie. W czasie jedzenia to wiecie nawet niezdrowo, żołdak soków nie wydziela. Wy powinniście w obiad o kwiatach mówić albo o schabowych kotletach. Tak, tak. O mapę się postarajcie, bo gdzie ten Kolobrzeg, to diabli wiedzą. Karetą u mnie, panie chorąży, płacimy.

Rozmowa toczyła się przy pokrze. Trzymałem fason tego rodzaju, że nigdy nie wiedzieli, ci młodzi „kurtyzowani” oficerowie, kiedy kpią a kiedy pytam o drogę. Mówiłem wiertne banialuki głosem patetycznym, dawałem najdłuższe porady dotyczące profilaktyki stosowanej przy chorobach wenerycznych. Autorytet miałem przez to, paleniem dobry tytuł z oficerskich przydziałów, no i stanowiło to w rezultacie jakąś rozrywkę. Służyłem w wojsku niechętnie.

— Potrzeba tylko tego, ażeby teraz na sam koniec wojny śledzia połąką — myślałem.

Chodźko posłuchał. Przybił mapę na drzwiach i mazałszy na niej do woli czerwonym ołówkiem. Stanowiło to jeszcze jeden sposób oszukiwania z godzin nieliczonych dni, jakie pozostały nam do chwili wymarszu na linię frontu, gdzie dopiero się pokazało, że nasze tratwy psu na budę nie zdąży się. Intensywna praca przy montowaniu ich z antyków od piwa i wyrywanych wierzei stodoł nie była jednak nadaremna. W te dni uchroniła ona wielu ludzi od nadmiernej myślenia, co, jak wiadomo, nie jest czynnością zbyt zalecaną na wojnie.

— Ty, Kuciu, nie rozmyślaj tak, tylko ty kop — mawiałem na wyczerpaniach od pleców leżącego bezradnie jak rozmuchana żaba, erkaemisty. — Ty kop stanowisko w pozycji leżącej i strzelaj. Strzelaj jak Pan Bóg przykazał.

Jednego takiego co myślał że — rozstrzelano. Poszliśmy po obiedzie całą kompanią przez łączkę obok czołgu Na drodze pod lasem dołączyły do nas inne kompanie wchodzące w skład batalionu, wszystko bez broni i oporządzenia. Wzieliśmy w las chrobocząc butami po chruscie i na dużej, poroślej wrzosem porębiliśmy się miejscami na lewym skrzydle ustawionego w podkowę pułku. Podkowę sformowano naprzeciw wysokiego, piaskzystego obrywu. Zarzute w piachu wisiały na nim drzewa, którym zabrakło ziemi. Piach był żółtawy, rudego koloru. Schły na nim, uwieszono kosenkami, jak czarne gnaty na resztkach ścięgien, obrzucane drzewa. Sosny ociekały obficie żywicą i szedł nad porębą duszny zapach ciepłego lasu.

Już przedtem przygotowano dość ksera strzelacz odarty z kory cien

ni pleń. Pomiedzy drzewami zarechotał motor, to „Dzems” manewrowa! pracownicy u skrajui poręby. Stanał tyłem i wyskoczyli z niego najpierw cztery zandarmi a za nimi zeszła się po opuszczonej klapie żołnierzy w nieprzepasanym, bursym szynelu. Utykał na lewą nogę, krzywiąc twarz w lekkim grymasie bólu albo zniecierpliwienia. Zandarmi podwiązali go sznurkiem do stupa i wtedy wyskoczył na pieńek zastępca polityczny „Gospodarza”. Za pierwszym razem noga mu się obsuwała i skakał chwilę wokół pieńka jak kogut, kiedy na miłosny zamiar, stuknął się boleśnie w kostkę. Wszedł po raz drugi ostrożniej i czytał usadnienie wyroku oraz sam wyrok. Muchy brzęczące ponad porębą, był to okres ich wspaniałej rui, laskotały go po twarzy, bo omachiwał się przeczytaną już kartką maszynopisu.

— ...zapytany, dlaczego nie rozładował broni po powrocie z warty, odpowiedział, że pragnął jeszcze tej samej nocy zastrzelić kurę. W toku śledztwa wyszło na jaw, że ani jednej żywej kury nie było w całej wsi...

— Stojący obok mnie Kuciu uśmiechnął się słabo.

— Czego się śmiejesz, bla!, człowika rozstrzelują — szepnąłem w jego wiochate ucho.

— Pan sierżant też się śmieje — odpowiedział od razu. Nie zdolałem opanować w porę grymasu.

— ...Śledztwo wykazało ponad wszelką wątpliwość, że obwiniony starszy strzelec Michałko postrzelił się sam w celu uniknięcia wymarszu na front. Czyn ten — habniebny zakwalifikowano jako objaw tchórzostwa w obliczu nieprzyjaciela. Starszy strzelec Michałko niegodzien jest miana Żołnierza Polskiego. Starszy strzelec Michałko skazany został na śmierć przez rozstrzelanie.

Związany u stupa Michałko zerkał po gospodarstwu na dół obok pała, a później pociągnął spojrzeciem po szeregach. Usta miał wykrzywione w głupekowatym, martwym uśmiechu jak dobrótliviwy fetysz i tak już stał z tym uśmiechem, kiedy zrywano mu pagony i orła z czapki. Zandarmi zasłonił go na chwilę plecami i zastrzelił szybko. Odstąpił i wtedy zobaczyłem go obwisłego na sznur

rze przytrzymującym go w pasie. Wyglądało to tak, jakby kłaniał się wszystkim gestem głębokim i pańszczyziannym. Dowódcy plutonów wykrzyknęli swoje komendy i odeszliśmy w ciszy. Zapomnieliśmy o nim za godzinę. Nie był on przecież nawet z naszego batalionu tylko z jakiejś „spec-jednostki” może z cekaemów albo z rusznicy przeciwpancernych, diabli wiedzą.

Za dwie godziny odeszliśmy na linię, obciążeni świeżo wyfasowaną zapasową amunicją i ręcznymi granatami. Za nami jechał wóz tabo-

rowy wiozący tratwy i łopaty o długich stylkach. Kurz wniecony pochoodem miał kolor pomarańczowy, prześwietlony był bowiem promieniami słońca zachodzącego w nadwodne, ciężkie opary.

Chłopcy śpiewali niezbyt głośno: *Czy pamiętasz nasz domek w Toledo*

*Cały w kwiatkach,
Róż szkarłatnych...
Grzędy pachnące rzędą,
I słowiki nocny śpiew...*

Okazało się, że okopy są suche i wygodne. Wybrałem sobie miej-

VILEM ZAVADA

przełożył K. A. JAWORSKI

PORZUCONA

Zachodzi słońce w szkarłatnej tęsknocie,
i ogniem płacze i dogasa dzień
przed śmiercią wschodem

Śpiew ropuch
pojęk mych przeszłych lat
Śpiew ropuch
wzróżba mych przyszłych lat

Odwraca się mrok
od oczu moich
a nie chce brząsk rozjaśnić ich świtaniami
po nocach, których sen nie koił

We mgłach się dusi dzień
z czerwonym żarem jak w psa oczach
a pod brzegami rzeka
o żelaznym kolorze zle wody swe toczy

Me serce się żarzy
jak słońce o wschodzie
Me serce się żarzy
jak blask o zachodzie

Po kogo wychodzić w ten mrok
z izdełki przsiekającej zgrzytotą?
Gdzie, miły rozbrzmiewa twój krok?
Bez miłości jest życie jak bez nieba ziemia

VILEM ZAVADA, ur. w r. 1905, urzędnik Biblioteki Uniwersyteckiej w Pradze. Poeta pełen wewnętrznej niepokoju, pesymizmu. Bełśnie udułowajacy sprzeczności życia, szukający ucieczki przed jego grozą w ułtowaniu „czarnej ziemi” ostawskiej, przyrody i kobiety. *Wiersz twardy, chropawy, widać uczynny wysiłek poety o znalezieniu własnego wyrazu, który by najułaściwiej oddał przeżycie. Bibliografia: „Panichida” (1927), „Syrena” (1932), „Droga na piechotę” (1937), „Wieża zamkowa” (1940 — nagroda państwowa). Tłumaczył poetów jugosłowiańskich.*

NA UDEPTANĄ ZIEMIĘ

(Dokończenie ze str. 1)

ły w systemach megalomanii charzmatycznych wodzów. Nowoczesny ruch robotniczy od początku swojej walki o władzę oparł się na nauce, na zasadach kształcenia, na odpowiedzialności i wartości zespolonej pracy, walczył z awanturnictwem, improwizacją i kłkowością w swych szeregach.

Tam, gdzie od tych zasad odstępował — nieuniknionym następstwem było zwyrodnienie ruchu robotniczego, zejście z drogi socjalizmu.

W Polsce postęp opierał się zawsze o postulat upowszechnienia nauki. Przypomnijmy Sejm Czteroletni, Staszica i pozytywizm. Tym bardziej na upowszechnieniu nauki musi się oprzeć prowadzący do socjalizmu, system demokracji ludowej. Bibliotekarz społeczny, który uważa, że miarą jego upolitycznienia jest najwyższy odsetek broszur politycznych w jego katalogu, a nie rozsądne uszeregowanie literatury popularno-naukowej, literatury pięknej i literatury politycznej jest nie bardziej politycznie dojrzały, ale bardziej politycznie głupi.

Angielski fizyk J. D. Bernal w książce „Społeczna funkcja nauki” powiada:

„Pełny rozwój nauki w służbie ludzkości jest niezbędny z trwaniem kapitalizmu... Zbliża się uspołeczniona, integralna, naukowa organizacja świata... Musimy zrozumieć, że znajdujemy się w jednym z ważniejszych przejściowych okresów historii ludzkości”.

Badania czytelnictwa wykazują wzrost zainteresowania literaturą popularno-naukową, szczególnie wśród młodzieży.

Okres prawie czteroletniej społecznej pracy kulturalno-oświatowej w Polsce pozwala określić już pewne jej cechy istotne i główne zadania.

W swoim przemówieniu wrocławskim Prezydent Bierut powiedział: „Musimy czynić równocześnie wysiłki w dwóch kierunkach.

Po pierwsze: — w kierunku najszybszej odbudowy kraju i podniesienia materialnych warunków bytu całego narodu, a przede wszystkim warstw pracujących.

po drugie: — w kierunku uzdrowienia wynaturzonej przez niesprawiedliwy ustrój społeczny psychiki ludzkiej i likwidacji zacofania, podnoszenia poziomu oświaty i kultury najszerzych mas ludowych.

Oba te zadania są najcięższe i

sobą związane i wzajemnie uwarunkowane. Nie podobna rozwiać jednego bez równoczesnego wypełnienia drugiego”.

I dalej: „Cechą znaną z tego okresu jest właśnie to, że miliony najprostszych ludzi weszły na tę scenę życia publicznego, że pragną one stać się czynnymi, a nie biernymi tylko jej uczestnikami, że stają się one stopniowo świadomymi i twórczymi czynnikiem dziejów”.

Jest to jasne wskazanie, w jakim kierunku muszą iść nasze wysiłki, aby awans społeczny i gospodarczy szedł w parze z równoczesnym awansem kulturalnym, aby praca oświatowa — kulturalna stała się powszechną szkołą rządzenia państwem demokracji ludowej bezpartyznych i członków partii, szkołą, która nas może obronić przed zalewem biurokracji i chamstwa, marnotrawieniem sił gospodarczych i ludzkich.

Stąd następujące wnioski: Po pierwsze: funkcja pracy kulturalno-oświatowej w Polsce współczesnej jest inna, odmienna aniżeli dotąd: przestaje ona być pracą chałupnika, filantropa, schożącego litosiwie do ludu, przestaje być pracą za rogatkami kultury, tym bardziej przestaje być pracą kulturalnego konserwowania wsi i miasteczek w ich dawnych formach. Praca kulturalno-oświatowa winna nauczyć naród politycznego myślenia, podnieść wieś i miasteczko do miasta. Praca kulturalno-oświatowa nie może być narzucona z zewnątrz wielkim masowym organizacjom, zastępować miód ich pracy miękiszem kasztanowym. Winna ona wyrastać organizmnie z ich kadry i cementować szeregów związków zawodowych, samopomocy chłopskiej czy organizacji młodzieżowych.

Po wtóre: pracownik kulturalno-oświatowy w Polsce Ludowej musi jasno i wyraźnie mieć przed oczami nowy model kultury i nowy model moralności społecznej. To znaczy musi widzieć źródło moralnej siły kultury narodowej w walce przeciwko kapitalistycznej psychice o styl zespolonej pracy, wzajemnej pomocy, o świadomość tego, co Joachim Lelewel nazywał „nie moje ani twoje — ale mirskie” — o radość wkładu w rzeczy wielkie. Trzeba zrozumieć, że rogatki kulturalne mogą być zniszczone jedynie w walce przeciwko psychice własnościowej, a jak powiada Stefan Zeromski: „Jeżeli

przeciwko temu podnoszą się ostrzeżenia, iż natura naszego „chłopa” niezgodna jest, jakoby z takim procederem gospodarstwa, że ta natura pożąda jedynie władania zagrodowego, na swym zagonie i swej własnej oborze, to można z góry odpowiedzieć tysiącem zaprzeczeń”. Wydaje mi się, że na tym odcinku praca kulturalno-oświatowa, pionierska praca, którą między innymi prowadzi tygodnik „Wies”, może na długi wyprzedzić przemiany gospodarcze.

Po trzecie: czas ostateczny odpartyznianie ideologiczne, organizacyjnie i finansowo pracę kulturalną w Polsce. Czas skończyć z mitami i legendami duchowego bonapartyzmu chłopskiego, spółdzielczego czy innego. Jest jedna legenda i jeden mit — Polski Ludowej. W zakresie organizacji należy stworzyć ośrodki koordynacji, szkolenia i nadzoru państwowego, ażeby skończyć raz wreszcie z deptaniem sobie po piętach, z dublowaniem tych samych robót, z mnożeniem małych sadzawek, na których pięknie, megalomańsko rechoczą żaby.

Finansowo należy scentralizować w jednym ośrodku wszelkie dotacje i subsydia na cele kulturalne i przeprowadzić ścisłą kontrolę, jaka część pieniędzy marnotrawi się na diety i administrację, jaka zaś część rzeczywiście idzie na pracę kulturalną. Mamy nadzieję, że od nowego roku budżetowego na tym odcinku nastąpią zmiany.

Po czwarte: należy na nowo rozpatrzyć sprawę samokształcenia, która w Polsce nie może spełniać ani roli zastępczej wobec szkół państwowych, ani też nie może w żadnym stopniu zwniać tempa rozbudowy szkoły powszechnej i systematycznego szkolnictwa. Rola samokształcenia w Polsce może być i będzie uzupełniająca w stosunku do szkoły ogólnokształcącej.

Po piąte: należy dokonać rozróżnienia ustrojowego i prawnego między wykonawstwem pracy kulturalno-oświatowej a jej nadzorem, koordynacją i dyspozycją. Nie wolno przedłużać stanu, w którym na każdym odcinku miesza się pojęcie nadzoru z wykonawstwem pracy oświatowej przez organizację społeczne. I należy wreszcie wpoić niektórym biurokratom rozumienie, że nadzór, instrukcja, planowanie i instancji państwowych nie zastępuje tego wielkiego ognia i wysiłku, jakie mogą wnieść tylko wielkie, masowe organizacje społeczne i społeczny wysiłek.

sce, wykopałem saperką niszę w ścianie i wyrzewałem ją pracowniczymi zadkiem, obracając twarz za słońcem jak roślinka.

— ...A może i pan, panie sierżancie, poszedłby z nami na wypad. Tak po staremu, po warszawsku. Sprawa jest prosta. Gromadzę ochotników. Chciałbym mieć kogoś ze swojej wiary przy sobie. — Pokręciłem głową. Wytrząsałem popiół z fajki i wdępywałem uważnie w piach żarzące się resztki tytoniu. Było to w nocy. Sylwetka zastępcy dowódcy kompanii smukła, obcisnięta krótkim kozuskiem, lekko majaczyła w okopie. Jedyne głowe jego widziałem lepiej, patrząc od dołu, rysowała się na jaśniejszym tle nieba pokrytego gwiazdami.

— Nie pójdę, poruczniku. Mam wszawy odcinek. Martwe pole ostrzału, mogą podejść pod sam nos. rzekę granatem przerzuci. „Kombat” połecił na odprawie, aby uważać. Ludzi mam nieostrzelanych. — Pokręciłem głową.

— A no jak chcesz. Dobrze było by mieć kogoś z powstańczej wiary przy sobie. — Odszedł. Patrzałem ze złością za nim, gdy zniknął w głębi okopu za zakrętem kolebiąc się lekko na swych długich, mocnych nogach.

— Potrzeba tylko tego, ażeby teraz na sam koniec wojny śledzia połąką — myślałem wpaowywując się na powrót w moją niszę.

Przyneśli go o szarówce na placu dwa esesmani złowieni przez patroł, którym dowodził. Trzeci uciekł w porannej mgie, ale zdążył pukać z karabinu. Miał widać zagrożony nabój z pociskiem o uciętym szpicu, bo głowę porucznika rozniosło. Przyminała rozbitą szagan z borówkami.

— Widzicie, panie chorąży, jak to bywa. Mówiłem porucznikowi w nocy: To nie powstanie, wysłajcie porucznika jakiegosi plutonowego. A tu, babach i po chłopce, jak krowa zliwała... trzy walety, obnażył się pan... — Siedzieliśmy po odprawie w bunkrze dowódcy kompanii.

— Trzy damy u mnie, płacimy. Chciał z bliska obejrzeć teren naszego natarcia. Wyprosił u kombata dowodzenie patrolem. „Pójdę, powiada za rzekę”. Eh.

— Nie należy zdrowej głowy kłaść pod ewangelię... pod ewangelię...

lię... pod ewangelię... pod ewangelię... — przysięgawałem monotoniem filijując ostrośnie karty. — Gram za sto — zdecydowałem nagle i kłasnłem głośno językiem patrzając groźnie po partnerach. Bluffowałem.

Natarcie ruszyło o północy. Przeprawiliśmy się cicho na łodziach i zaraz posłaliśmy dalej rozwijając się w tyraliere. Garb strachu, jaki niosłem na plecach, rozplynął się w gorączkowym odrętwieniu. Owładnął mną narkotyczny stan właściwy każdemu żołnierzowi w ataku. Unosiłem do góry nogi, krocząc jak boccian, obawiałem się min. Wytknąłem przed siebie długi ryj pepesy wierząc, że zaraz siknę z niej pociskami. Ale nie takiego nie zaszło. Kiedy przylegliśmy na jakimś nasypie przyniecieni do ziemi ogniem niemieckiej broni maszynowej, poczułem silne uderzenie w prawą rękę, odwróciłem się na plecy i zsunąłem się po śliskiej trawie w dół, bezradny jak dziecko.

— Kuciu, powiedz dowódcy, że jestem ranny!

Kuciu zaprzestał na chwilę dygotać przylepieny do kolby erkaemu, zdjął palec z języka pustowego. Oddałem mu swoje granaty i odszedłem zgarbiony w kierunku rzeki. Byłem z powrotem na pozycji wyjściowej jak laufer, który wykonał fałszywy ruch w partii szachów. Z całego natarcia pozostał mi jedynie natrętny obraz twarzy Kuciuna, oświetlonej białym blaskiem rakiety. Nozdra miał rozdęte, drażnił go zapach odpadlonych naboi. Kiedy ja odchodziłem, on zmienił właśnie stanowisko przeskakując w kierunku następnej osłony ruchem doświadczonego kłusownika. Do okopu przeszedłem po pontonowym moście, który saperzy zdołali już przez ten czas przetrzącić. Na moście przystanąłem i wylałem do rzeki krew z rękawa jak z rynny.

W bunkrze „Sanbatu” kapral lapiduch dał mi usznięcie lynką okolicy. Zwymiotowałem zaraz i poszedłem spać na słomę. Nad ranem obudził mnie potworny huk. Wibrowała podę mną przycza i spomniędzy belek powoły spał się cienkim smużkami piach. Wydawało mi się, że żdbła słomy pod moimi plecami drgał jak mrowisko. Potwórna powodź żelaza zalewała artylerią niemieckie umocnienia.

Wyjrzałem na świat Boży i odlewając się ostrożnie za próg obserwowale, jak niedaleko, w kępie krzewów pracują kanonierzy. W perłowym świetle przedświt widać im cienie szamocących się z pociskami artylerzystów i rękę dowódcy opadającą i wzmoczącą się miarowo jak ręką sędziego wyliczającego boksera po nokaucie.

— Echl Byki krasel! — rzycałem, pochylony nad siedzącym pod ścianą lapiduchami. — Gdzie bunkier wykopaliście? Pomiędzy stanowiskami artylerii. Bodaj was...

Siedzieli z rozdziawionymi uszami zatykając uszy.

— Frędko przyjedzie podwoda? Al!

Kiwali, że frędko, tylko „artpodgotowka” uicinnie. Jakóż przyszła, suto wymoszczona słomą. Wzdzwonięci cłszy jechałem rozwalony na niej, pod drzewami. Nieśmiało popiskiwaliśmy w koronach sosen poranne ptaki, jakby pytające czy już można. Drogę zagroził nam długi łańcuch czołgów. Przystanąły w pochodzie za przeprawą.

— No jak tam... ciężko było? — Umorusany pancerniak w pokrytym watomanyimi kielbasami helmie stał wychylony jak z balkonu w wieńczy czołgu. Uśmiechał się przyjaźnie ocierając szmatą dłoń.

— Przejdziecie jak po stole... Przeprawa otworzyliśmy wam jak ten różny kwiat i artyleria zrobiła swoje. — Machnąłem zdrową ręką i nabzdyczyłem się pełen godności.

— Jak to taniutko wychodzi — myślałem. — Żyje oto i nie zginałem ani z tchórzostwa jak ten idiotka Michałko, ani z gorliwie odwaigi jak porucznik. A przy tym wszystkim mam wiele zasługi i chwały. Mój czołgista machnął dłońią na pozegnanie i dał nura w głąb stółowego pudła. Jego czołg brząnął piachem spod gąsienic i ruszył za innymi ku przeprawie kolebiąc się ciężko na wybojach. Taboryta cmoknął wilgotnie na konia i zdzielił go batem. Koń zesmerodził się i poszedł leniwie gościnnie w kierunku wschodzącego słońca. Wtedy to unosiłem głowę i patrzyłem za uchodzącymi czołgami. Szły jak stado czarnych byków wrząc dard i rycząc głośno. Przyciępieni do nich jak kleszcze czalili się w wieżyczkami fizyliery. Ogarnął mnie nagły ostry żal, że nie jestem rzyzszym wycięstwu. Byłem zatem zdołny, po tylu latach, odczuwałem entuzjazm, choć był to przecież mały lutki okroh tego uczucia.

— No... mały, no... — postękiwał na konia taboryta.

— Nie ma... mały, no... — postękiwał na konia taboryta.

Jerzy Borejsza

Bohdan Czeszko

TADEUSZ BREZA

Jak tu uciec od polityki?

Kongres w Kopenhadze

W tym roku PEN-Club zebrał się w Kopenhadze. Na Kongres, dwudziesty, jubileuszowy, przybyli liczniejsi niż do Zurychu. Prócz Aleksandra Wata i Michała Rusinka, którzy reprezentowali Polskę w roku ubiegłym, zjawili się tym razem Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski i niżej podpisany. Niestety, nie przybył Jan Parandowski, prezes polskiego centrum, zaproszony na zjazd jako gość honorowy. Kiedy po otwarciu zjazdu odczytano jego depeszę o chorobie, zjadł jednogłośnie postanowił przelać mu jak najwięcej pieniędzy. Nie była to jedyna depesza, ale jedna z dwu, następną Kongres skierował do Maurycego Maeterlincka, prezydenta międzynarodowego PEN-Clubu, osiemdziesięcioletniego, starszego pana, przebywającego stale w Ameryce, któremu lekarze wzbronili tak daleką podróż.

Z zesłorocznego, ciekawego sprawozdania pt. „Bitwa pod Zurychem”, zamieszczonego przez Wata akurat rok temu, czytelnicy „Odrodzenia” mogli się dowiedzieć przede wszystkim o jednym. O tym mianowicie, że pisarze z najrozniejszych krajów, dorwawszy się do siebie po latach wojennej rozłąki, od razu zajęli się polityką. I to nie polityką jako zjawiskiem, które pisarz winien badać, i nie polityką jako narzędziem w rękach szalonych polityków, ludobójczym i wojnotwórczym, które pisarz winien tępić, ale polityką w potocznym znaczeniu. Aleksander Wat szczegółowo omówił, w jaki sposób zjazd zmienił się w pole bitwy, gdzie musieliśmy się bronić, my, to znaczy delegacje krajów okupowanych w czasie wojny przez Niemców, przed mnóstwem taktycznych pociągnięć i manewrów, przemysłanych napróżd i próbujących na kongresie literackim realizować czysto polityczne cele. Chodziło wówczas o sprawę niemiecką. Angliki z miejsca opowiedzieli się za wprowadzeniem bez żadnych zastrzeżeń Niemców na lotni międzynarodowej organizacji. Przechybiając kraje, które domagały się selekcji, krajami malkontentów. Ale ostatecznie po stronie malkontentów stanęła opinia większości. Przyjęto więc zasadę weryfikowania każdego z Niemców z osobna przez daną komisję do jego własnego, niemieckiego PEN-Clubu. Cała ta sprawa jednak, sprawa przekształcenia zjazdu na jeszcze jedno boisko czysto polityczne, musiała zaniepokoić górę penklubową. Tym bardziej że wynik samych rozgrywek zdaje się także nie poszedł po jej myśl. Toż to właśnie profesor Denis Saurat, Francuz, ale gość honorowy z ramienia angielskiego PEN-Clubu, wiceprezydent całej organizacji, zatem druga osoba po Maeterlincku, rozpoczął w zeszłym roku promieniecką akcję. Przegrał. Może więc uznać, że po tym wstrząsie PEN-Club wyszedł raczej osłabiony. Jest on zresztą organizacją wyraźnie słabszą w porównaniu z jej siłą sprzed wojny. Do Kopenhagi nie przybyli przedstawiciele wielu krajów, że z europejskich wylizę choćby Bułgarię, Portugalię, Hiszpanię, Jugoslawię, Rumunię. Dalsze demonstracje i posunięcia polityczne mogłyby się tylko przyczynić do jeszcze większego uszczuplenia PEN-Clubu „z tego troszkę co mu jeszcze zostało” — jak się wyraził jego międzynarodowy sekretarz p. Herman Ould. Toteż Kongres w Kopenhadze rozpoczął się z mocnym postanowieniem, by nie tykać polityki.

Protokolat nad Kongresem objął król Danii, Fryderyk IX. Do komitetu honorowego weszło pięciu ludzi: minister oświaty, burmistrz Kopenhagi, dyrektor królewskiego teatru, dyrektor radia i rektor, który wygłosił przemówienie powitalne na otwarcie. Aby wysłuchać tego powitania, zasiadliśmy w pięknej auli uniwersyteckiej. Rektor O. A. Borum, siroiny w togę i lańcuch. poświęcił swoje przemówienie za-

gadnieniem wolności, wolności słowa i wolności myśli, po nim imieniem PEN-Clubu mówił prof. Saurat, w imieniu duńskiego PEN-Clubu witał nas go prezes Kaj Friis Moller. Wreszcie zjazd przeszedł do tego, co miało stanowić tamę przeciw zalewom polityki, przeszedł do wysłuchania fundamentalnego referatu zjazdowego. Ten zasadniczy referat piera popularnego powieściopisarza francuskiego starszego pokolenia, prezesa francuskiego PEN-Clubu, szeta trzydziestoosobowej delegacji, francuskiej, p. Jean Schlumbergera, rozdał nam dnia poprzedniego. Było to posunięcie ze wszelkich celów. Już to dlatego, że zawerzało swemu słuchowi, gdy p. J. Schlumberger czytał, było by lekkomyślnością, zwłaszcza że i akustyka w auli była nietęga. A poza tym dlatego, że inaczej w późniejszej, parodniowej dyskusji, zatarłby się nam tekst oryginalny. Mając zaś druczek przed oczyma, mogliśmy do niego powracać.

Nie od razuśmy powrócili. Mimo całej zapobiegliwości góry penklubowej pragnącej tym razem osłonić nas przed polityką, wpadliśmy w nią od razu. Zanim przystąpiliśmy do rozważań czysto literackich i ideologicznych, i do rozważań co uczynić możemy w najbliższym czasie dla wolności, pokoiu i postępu, bo taka jest myśl przewodnia naszej organizacji, znowuśmy się uwikłali w politykę. I to nie po raz jeden jedyny w ciągu całego zjazdu, ale może po raz najgroźniejszy. Na szczęście nie na plenum, lecz na tak zwanej egzekutywie. Jest to ciało o wiele szersze od plenum. Wchodzi doń tylko delegacje oficjalne, a więc po dwu na grupę narodowościową, oraz członkowie honorowi, których jest tylko czterech, a i to nie wszyscy na Kongres przybyli. Na egzekutywie ustala się porządek dzienny, ona również w pierwszym czytaniu rozpatruje wnioski i głosi nad nimi, decydując, które przejdą na plenum. To również pralnia wniosków, tu mętnym wnioskowi dodaje się klaru, a nażyty szorstkim odejmuje się ich ostrość. W zasadzie o przebiegu Kongresu decyduje egzekutywa, obejmuje przecież przewodniczących wszystkich delegacji! Co oni rozważają na egzekutywie, bywa rozwijane w ten sam sposób publicznie, a czemu zamkną usta, temu nawet do głowy nie przyjdzie ujawnić się na plenum.

Ale zanim czemuś takiemu zamkną usta nieraz upływie dużo gadania. Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa p. Schlumbergera, które miały nas zaczarować, kiedy poculiśmy, że nie wszyscy chcą się poddać czarowi tej prelekcji, co zresztą byłoby zrozumiałe, ale również nie chcą się poddać dyscyplinie statutowej PBF Clubu. Norwegowie rzucili się na Czechów. Nie pisaliby o tym, gdyż zasadniczo biorąc posiedzenia egzekutywy odbywają się przy drzwiach zamkniętych, ale właśnie to posiedzenie wyjątkowo odbyło się przy drzwiach z lekka uchylonych, a raczej przy drzwiach, które poczęły się uchylać tym silniej, im widoczniej wniosek norweski tracił na szansach, że dopłynie na plenum. Podkreślał on, że — „w wyniku komunistycznego zamachu stanu dokonanego przy użyciu siły, powstała dla literatury i dla prasy w Czechosłowacji sytuacja nie do zniesienia” — i wzywał, by — „PEN-Club przeciw temu w sposób stanowczy zaprotestował”. — Czesi, p. Erik A. Saudek i świętina w każdym słowie pani Jirina Tiunova, odgadując w lot, na co ma istotnie apetyt Norweg, sprzeciwili się rozpatrywaniu wniosku na plenum natomiast oświadczyli, że służą informacjami, jeżeli sobie ktoś życzy je usłyszeć w czterech ścianach egzekutywy. Ale Norweg chciał pytać tylko publicznie. Zagroził, że jeżeli nie pozwolą mu wstawić wniosku do porządku dziennego,

przeżył go w wolnych głosach. Poczęli Norweg delikatnie mitygować Angliki. Na to Norweg oburzył się i zarzucił Anglikom brak odwagi. — „Kolegowałem z Norwegami podczas wojny — odparł mu imieniem angielskiej delegacji dr Snow. — Pracowałem z nimi w pewnej sztabowej komórce dowództwa marynarki, nigdyśmy sobie wówczas nie zarzucali braku odwagi, zwłaszcza oni nam, my natomiast czasami zarzucaliśmy im pewien nadmiar uporu!” — „I to właśnie jest przyczyną naszej dumy!” — zawołał p. Wilhelm Keilhau, ów uparty Norweg. Zabrali się do niego z kolei Francuzi, reflektując go i pytając czy pewien jest tego że to akurat Czechosłowacja jest na świecie ostoją niewoli słowa i proponując mu następnie z całą powagą, by zechciał przydać wagi swemu wnioskowi i rozbudował go jeszcze w oparciu o te fakty, o których niewątpliwie wiele słyszał w ostatnim miesiącu czy dwu. A więc o sprawę Pabla Nerudy, tudzież o sprawę komisji tzw. antyamerykańskiej albo chociażby o treść innego wniosku, który świeżo wpłynął do prezydium egzekutywy, wniosku Katalończyków-emigrantów, skarżących na potworność cenzury w Hiszpanii, gdzie doszło do tego, że nawet Biblii z tekstem przygotowanym dla protestantów nie wolno drukować. Może by więc p. Keilhau spróbował — judyli Francuzi — ostrze

swego wniosku obrócić przeciw tym wszystkim rzeczom, skoro taki odważny. Ale Keilhau nie zdążył się wypowiedzieć w tej sprawie. Natarli na niego Angliki. PEN-Club jest ich domem. Zaniepokoił się, by doprowadzony do ostateczności Keilhau, chwyciwszy za kolumny, na których wspiera się cały gmach, nie rozwalił go. W miarę jednak jak Keilhau, pod wpływem głosów dr. Snowa, Iwaszkiewicza, Węgra Tabori, Hoëndra van Vrieslanda przycichał, drzwi prowadzące do czytelnicy w Hotelu d'Angleterre poczęły się rozchylić. Sądzić było można że zainteresowani tą kampanią przychodzą oglądać jej fasko, tymczasem, zdaje się, że właśnie wtedy przybywała ościecz. Przystąpiono do głosowania: za wnioskiem Norwega opowiedziały się dwie osoby, on sam i pani Stephanie Chandler z Belgii. Przeciw wnioskowi padło 19 głosów. Odsiecz jednak nie przyszła głosować. Nie po to. Odsiecz nie składała się z delegatów. Lecz z dziennikarzy. Na drugi dzień w prasie szwedzkiej, w „Dagens Nyheter”, ukazał się artykuł o całej kwestii. Przedruki z niego, uznawszy niedyskrecję już za uswieconą, podały pisma duńskie. Od tego dnia Kongres poczęł pilnować swoich drzwi baczniej.

Alle już nie było czego. Sprawa niemiecka, która wypełniła cały kongres zuryjski, przez ciąg ubiegłego roku dojrzała. Angliki i Niemcy przychyliłi się do poglądu



Siedzą od lewej ku prawej: rektor uniwersytetu w Kopenhadze O. A. Borum, prezes PEN-Clubu duńskiego Kaj Friis Moller oraz Jean Schlumberger

państw „malkontentkich”, że weryfikacja ludzi, z których ma być odbudowany nowy niemiecki PEN-Club musi być ścisła i międzynarodowa. W Kopenhadze polska grupa wydelegowała do tak zwanej „komisji przygotowawczej” Aleksandra Wata, zwanego na Kongresie „le kilo Wat dynamique”, promotora „malkontentkiej” opozycji zesłorocznej. Komisja obradowała w nastroju poważnym, bez zgrzytów i bez wrogich wypadków, a przez ten czas na sali głównej debatowano w sposób idylliczny nad tekstem Schlumbergera. Nagle wpadł na podium p. H. Friedmann, z niemieckiego, emigracyjnego PEN-Clubu, zresztą urodzony w Brodach, i za zgodą prezydium wciągnął się między dwu mówców, rozstrząsających prelekcję Francuza, odczytał jeszcze mokrą, ostateczną rezolucję komisji, której był członkiem. Ale w minutę później okazało się, że nie była ostateczna, że brak zakończenia, które Wat jej przydał w stylizacji Gabriela Audisio. Powiadało ono, że „Kongres przyjmując do wiadomości z satysfakcją, że PEN Club niemiecki zakazuje sobie przyjmowania do swego łona pisarzy, którzy współdziałali z propagandą hitlerowską w szczególności w krajach okupowanych. Zakaz ten jest warunkiem podstawowym i wiąże ma PEN-Club niemiecki na stale” — Kongres jednak wyrozumiał niecierpliwość Friedmanna, któremu spieszo było donieść wszystkim, że komisja rozwiązała wreszcie sprawę niemiecką. Następnie jeszcze przemówił imieniem Anglików, Peter de Mendelssohn, członek literackiej komisji denacyfikacyjnej z angielskiej strefy, popierał wniosek komisji, omawiając szczegółowo listę dwudziestu pisarzy niemieckich, mających odbudować PEN-Club niemiecki. W ich imieniu przemówił J. Becher, który rozpoczął przemówienie od uczczenia pamięci Kaj Munka, znakomitego duńskiego autora dramatycznego, zamordowanego przez Niemców. Becher powiedział: — „Przemawiam do was po niemiecku, językiem, którym wstyd mi się do was odzywać. Jesteście pisarzami, jesteście jednostkami, jednostkom zawsze łatwiej przychodzi zdobyć się na przebaczenie i jednostki same decydują o swoim prawie do przebaczenia. Ale nie społeczeństwa! One nie umieją tak łatwo przebaczać i nie mają prawa łatwo decydować. Mimo to zwracam się za waszym pośrednictwem i za waszym wstawianiem do przebaczenia”. — Wniosek komisji został przyjęty, lista dwudziestu, pierwszych dwudziestu, zaakceptowana. Z delegacji belgijskiej padł głos, żeby wniosek ten i tę listę przyjąć jednogłośnie. Nikt mu się nie sprzeciwił.

Kiedy sprawę niemiecką sfinalizowano, poprosił o głos delegat oficjalny Holandii Victor E. van Vriesland i imieniem swojej piętnastoosobowej grupy, w spokojnym i sceptycznym przemówieniu poprosił prezydium Międzynarodowego PEN-Clubu o wyjaśnienie, czemu robi się tyle ceregieli z Niemcami, gdy jednocześnie przyjmuje się pisarzy japońskich z powrotem nie interesując się ich aktywnością podczas wojny. A było by czym! — sądzi Vriesland. Tyleż samo dało by się zarzucić pisarzom japońskim co niemieckim z tą jedynie różnicą, że trudniej było by znaleźć „dwudziestu sprawiedliwych” wśród pisarzy kraju kwitnącej wiśni. — Na te słowa poczerwieniały twarze członków prezydium jak owoce dojrzalej wiśni. Po chwili jednak podano z prezydium do wiadomości zjazdu następujące wyjaśnienie: — „Sytuacja obu PEN Clubów, niemieckiego i japońskiego, jest z gruntu odmienna. Japończyków nie potrzebujemy wskrzeszać, ani dwudziestu sprawiedliwych wynajdywać, a to z tego względu, że PEN-Club japoński nigdy nie został przez rząd japoński rozwiązany”. — W zakończeniu tego wy-

wodu prawniczego prof. Saurat, który go przeprowadzał, uśmiechnął się z zazenowaną dyskrecją i wtrącił: „Ja zawsze stałem na stanowisku, że kongresy pisarzy nie powinny zajmować się sprawami ocierającymi się o politykę, nie tylko dlatego, że to polityka, ale również dlatego, że to jest pewna umiejętność. My zaś jej nie posiadamy”.

Wspomniałem wyżej już o sprawie katalońskiej, inną kwestią tego typu, nie polityczną, ale moralną, zajmował się Kongres z okazji wniosku, który przedstawił delegat Palestyny, P. A. Heldman, pisujący pod pseudonimem „Ever Hadani”, zwrócił się do Kongresu z prośbą, by Kongres przesłał wyrazy współczucia i otuchy pisarzom Izraela, wyrażając nadzieję i pragnienie, by pisarze ci wyszli cało z okropnie wydarzeń w Palestynie i, wzmocnieni ich doświadczeniami na sercu i umyśle, bogaciłi nadal tę literaturę, której pierwszym wyrazem była przecież najbardziej wężka i największa z Księg. Nieoczekiwanie delegat Indii przemówił za Arabami. — „Czemuż z okazji okropności wydarzeń, jakie się rozgrywają w Palestynie — zapomniał — przesyłać wyrazy otuchy tylko Żydom? Będę głosować za wnioskiem p. Heldmana — oświadczył — jeżeli p. Heldman zgodzi się na uzupełnienie tego wniosku i na takie same wyrazy otuchy i sympatii dla pisarzy arabskich!” — Przeciw takiemu stawianiu sprawy zaproponował Wat. — „To było by unywianie rąk — stwierdził. — Przesyłać i tym i tamnym? Tyle samo wyrazów tym, co i tamnym? To znaczy w praktyce ani tym, ani tamnym. Tymczasem sytuacja jednych i drugich nie jest taka sama. Właśnie w sprawie żydowskiej Palestyny, Izraela, jest coś, co zdolne jest przemówić w specjalny sposób do wyobraźni pisarza. Proszę się tylko wmyśleć: po dwudziestu latach powróć do swego gniazda, do ziemi obcej, do ziemi czyskanej! Jest w tym element w najwyższym stopniu przejmujący. I to niezależnie od myśli o niedawnym losie Żydów, a co dopiero kiedy się to obie myśli z sobą powiąże”. Po tej wypowiedzi wniosek delegata Palestyny przeszedłby w pierwotnym brzmieniu, ale sam delegat Palestyny go zmienił. — „Mnie nie o to chodzi — rzekł — by Zjazd nie posyłał pisarzom arabskim słów otuchy, ale o to, by takie słowa przesłał pisarzom Izraela. Wśród pisarzy świata arabskiego z pewnością znajdują się ludzie, którzy walczą o sprawiedliwość i o postępek, i o wolność, i o prawo. Jeżeli Zjazd sobie tego życzy, może mój wniosek dopełnić. Po czym p. Heldman przeczytał swój wniosek i sam przystąpił do uzupełnienia. Wniosek ten zmienił się w serdeczną odezwę PEN-Clubu do pisarzy Izraela. I wspomniał o sprawiedliwych spośród pisarzy arabskich. Utracił więc swe początkowe akcenty antyarabskie.

Tyle było na Kongresie spraw politycznych, semipolitycznych i polityczno-moralnych. Ach i jeszcze jedna! Wniosek p. Francis Weissa z delegacji brytyjskiej, wniosek, zdaje się, samozwańczy, o uznaniu języka angielskiego za podstawowy język Zjazdu. Nie był to jednak wniosek polityczny, a nawet przeciwnie, był to wniosek wręcz niepolityczny. W sposób najbardziej gwałtowny sprzeciwiła mu się delegacja angielska. Bo też rzeczywiście co zanadto to nie zdrowo! Kongres przeszedł nad nim do porządku. Czas był najwyższy. Z osiemnastu godzin pięciodniowego kongresu, przeznaczonych na debaty, kwestie poza ściśle literackie zabrały nam połowę czasu. A tymczasem tezy Schlumbergera czekały na odprawę. I nie tylko one. Czekano, by udzielił im swych replik zaproszonych do głosu, dwadzieścia osób.

Tadeusz Breza



Kaj Munk znakomity dramaturg duński, pastor ewangelicki, jeden z duchowych przywódców duńskiego ruchu oporu, nieustraszonej w słowie i piśmie, w r. 1944. po wielokrotnych incydentach z władzami cenzurującymi, zamordowany skrytobójczo przez Niemców

WIKTOR WOROSZYLSKI

PIEŚŃ O KOMPANII Wschodnio-Azjatyckiej

gieldy całego świata podobne do karuzel
szczyt wysypiewają brzuhać każdy jest Carusem
pugilares czerwonołbego romantyczna miłość wysłowi
marynarki uskrzydłonej trzępót przez zachłynie się słowik

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

six hawaian swingers z łona drewnianej dziewczki
saksofonów egzotycki owoc zrywania refren
kolonialny deszczami opada na lśniący parkiet
pod parasolem dźwięki ocierają się parki

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

boy z dziesiątego piętra marzył o wielkim okręcie,
sterował korciem licznika, spadł na dno najkrótsze śpięcio
surowy portier rażony nie zaśnił i nie zgasił z hukiem
zadzwoził do elektrowni boya wykopał na bruk

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

blade z dzielnicy ogrodów zazdroższa lądkom i biodrom,
na sprzedaż w porcie wesolym, gdzie marynarski hippodrom
świat mały srebrna moneta bliżsi pojutrze odjazd
żagle Vasco de Gamy motorów jednaka melodia

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

książka dziełnictwa nagle ekran zastępył w kinie
fale mórz południowych powieść o żółtym rekinie
ziemia brunatna okrążyła bogata dobra
wiersze Swinburne'a złoto ryż ananasy kopra

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

jedyny, sprawiedliwy usta zapala z trzaskiem
saksofonowy okop szturmuje gorącym hasłem
bywa różnie powiada, bywa tak i inaczej
rewolucja płonie u towarzyszy w zanadru

o kompanio wschodnioazjatycka
o kompanio wschodnioazjatycka
o kompanio
o wschodnioazjatycka kompanio

Kopenhaga, 1946



Stoją od lewej ku prawej: słowny duński pisarz polarny Peter Freuchen, jego żona Dagmara Freuchen, malarka amerykańska, ilustratorka „Vogue”, Jarosław Iwaszkiewicz, Aleksander Wat, Tadeusz Breza (z tyłu), Leon Kruczkowski i Michał Rusinek

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

SPOTKANIA CZESKIE

Oglądając się za siebie po miesięcznym pobycie w Czechosłowacji, widzę nie przepiękną, ożywioną Pragę, nie soczyste, dojrzałe Brno, ale przede wszystkim ludzi. Ich obraz, treść prowadzonych rozmów i atmosfera, w jakiej się toczyły, przesłaniają mi krąg barokowych pałaców, oświetlającą urodę katedry św. Wita, niespodziankę czarującej Złotej uliczki, czy ponurość Szpilberga.

Co uderzało mnie najbardziej w zetknięciu z tymi ludźmi, to ich nieklamana sympatia do Polski i zdumiewająca znajomość naszego życia kulturalnego, naszej literatury, a często i języka. Już nie mówię w tej chwili o literatach albo specjalistach, jak prof. Krejczy, ani o ludziach stojących na czele Towarzystwa łączności kulturalnej w Polsce, jak dr. Maxa w Pradze czy przemysłowca Kłajaja w Brnie, ale i ich współpracownicy, cały zespół wydawnictwa polskiego w Ministerstwie Informacji w inż. Malkiem na czele — wszyscy ci ludzie imponowali mi swoją niepowierzchną bynajmniej wiedzą o Polsce, którą wielu z nich dobrze zna. Ba, niejedyn z nich nawet odbywał w niej studia. Mój przyjaciel z obszaru koncentracyjnego, nauczyciel szkoły specjalnej dla niedorozwiniętych, orientuje się w naszej literaturze z przekładów. Mój cicerone, urzędnik Ministerstwa Informacji i matematyk z zawodu, wciąż dobrze tłumaczy sportowe wiersze Wierzyńskiego. Nauczyciel gimnazjalny z Brna mówi świetną polszczyzną, posiada bogatą bibliotekę polską i sprządza sobie przez księgarnię wszystkie nasze czasopiisma literackie. I przykładów takich można by przytoczyć mnóstwo.

Literaci. Ścisłej mówiąc poeci. Znałem wielu z ich wierszy. Wielu z nich tłumaczyłem. Łatwo więc było znaleźć nic porozumienia. Ale obcując z nimi odczuwałem zawsze, że bliży jest mi niż w dużej mierze i dlatego, że kontynuujemy tradycję braterstwa pióra, zapoczątkowaną przez przyjaciół Mickiewicza z Hanką. Ze to Polak i Czech

Ale urok tego poety odsonił mi się w całej pełni w innych okolicznościach. Było to w Dobrzyszu po dość nudnej atmosferze obiadu, gdy większość literatów (poznajemy wtedy m. i. Drdę, Hofmeistera, Kolarza, Pilarza, Teifera — tłumacza poezji rosyjskiej i in. oraz Rogera Vaillanda, gościa francuskiego, który właśnie skończył w tym dniu swą ostatnią powieść) opuściła zamek wcześniej, gdyż miała jakieś zebranie. Pozostało nas kilkoro. Rozmowa przeskakuje z tematu na temat. Proszę mnie o odczytanie kilku przekładów. Doradzają, kto warto tłumaczyć, kogo nie można omiąć. Młody krytyk, redaktor „Listów” Chalucki przynosi mi z półki bibliotecznej tom poezji Tomana, którego gorąco poleca. Ukazują się na stole dwa zeszyty „Listów” — w jednym z nich wiersze obecnej wśród nas „nokiej, sympatycznej poetki Jiriny Haukovej. Nezval przypomina sobie, że przyniósł dla mnie kilka nowych książek, otrzymując je z przyjacielską dedykacją.

Po raz trzeci spotkałem się z Nezval'em znów w odmiennych okolicznościach: na wieczorne polsko-czeskiej poezji w niebieskim salonie restauracji „Klubu Narodowego” na Przychybie, gdzie stałe w niedzielę wieczorem zbierają się Czesi; interesujący się Polską i garść miejscowej Polonii. O szerokim zainteresowaniu ta pożyteczna akcja Towarzystwa Łączności Kulturalnej i Gospodarczej w Polskę świadczyć może fakt, że jeden długi stolik zajęty był przez kilkunastu młodych adeptów szkoły oficerskiej, którzy mając tyle możliwości spędzenia wolnego czasu w teatrach lub na koncertach przybyli tutaj. Byłem w tej restauracji już przed dwoma tygodniami na koncercie muzyki i pieśni polskiej z udziałem Maklakiewicza i wtedy odczytałem trzy swoje przekłady. Obecnie wieczór był pomysłem na szerszą skalę. Miałem odczytać kilka wierszy własnych i kilka tłumaczeń w ten sposób, by tekst był dwujęzyczny. P. Parma przelożył dwa moje wiersze na czeski, utwory poetów czeskich przed każdym moim przekładem recytowała w oryginalnie para studenka. Był Neval, który sam odczytał pięć pieśni „Edisona”, poprzedziwszy swój „występ” przesadnymi superlatywami na temat wartości przekładów. A gdy odczytałem wiersz napisany w Pradze specjalnie dla niego, podszedł do mnie i ucałował serdecznie, co sala przyjęła gorącymi oklaskami. W ten sposób publicznie został przypięczonego pakt przyjaźni polsko-czeskiej na gruncie poezji.

Nezval, nawet w sposobie bycia tracącym nieco dawną cyganerię, ma w sobie coś z poety, nie rozstaje się z beretem, jest dość niedbały w obejściu, pamięć ma fenomenalna, wciąż syple cytatami. Ten zapal, ta pasja do piękna we wszystkich jego przejawach, do podróży, do życia, to zbytek, jak mówią łośliwi, zainteresowanie jego kobietami, to wszystko składa się na typowy poniekąd, choć niedzisiejszy, obraz poety. To nie znaczy, by nie interesowały go sprawy społeczne i narodowe, o czym

może zaświadczyć jego ostatnia, słabsza zresztą od dawniejszych, książka „Obraz historyczny”. Jest członkiem partii komunistycznej, jak podobno 80 proc. literatów czeskich.

O spotkaniu z Halasem wspomnę później. Do Seiferta nie miałem szczęścia. Za to poznałem Vilema Zavada, również jednego z czołowych współczesnych poetów czeskich, którego odwiedziłem w Clementinum, w bibliotece uniwersyteckiej. Patrząc na tego ogolonego, nie było jak Pilarz, nie było jak Halas i nie grubego jak Nezval sympatycznego pana myślę sobie, jaki jest inny od tamtych. Spokojny, opanowany w ruchach — słownie, niezmiernie uprzejmy. Rozmawiamy o moich przekładach jego wierszy, z których posiadam tylko zborek „Wieżę zamkową”. Obiecuje mi przysłać dwa inne. Zwłaszcza idzie mi o „Panichide”, o której mi z takim entuzjazmem opowiadał Nezval. Brat Zavady tłumaczy z polskiego, on nie zna naszego języka, za to przekłada poetów jugosłowiańskich. Przygotowuje do druku nowy zbiorek wierszy. O współczesnej poezji czeskiej wypowiada się z pewną rezerwą, twierdząc, że za dużo ukazuje się nowych zbiorów, a taka inflacja poezji może być groźna. Radzi tłumaczyć Holana i Horzeisego.

Zawadzie zawiadziłem zwiedzenie biblioteki uniwersyteckiej — potwornej, bo liczącej sześć milionów skatalogowanych książek! P. Urbankova, bibliotekarka, pokazuje mi największe sanktuarium — zamknięte w skarbcu pięćdziesiąt z gorą ekspozycją najstarszych rękopisów czeskich, z których Kodeks Wyszehradzki pochodzi z roku 1085! Psalterze, bible, brewiarze, glossy — zabytki z wieku XIII, XIV i XV, rękopisy Husa i Wiclefa. Cudowne inicjały, misterne kolorowe ornamenty — ile lat znuźdnej pracy przepisywacza! Aby mi sprawić niespodziankę, przynosi mi P. Urbankova dwa skarby polskie: „Psałterz Dawidów” i „Pieśni” Kochanowskiego (rok 1585 i 1586 wyd.) — oprawne razem i „Zwierzyńiec” Reja (r. 1562, drukarnia krakowska Lazara).

W czasie czterodniowego wypadu do Brna zetknąłem się z innym środowiskiem literackim. Byłem w siedzibie t.zw. „Kola Pisarzy Morawskich” (zrzeszający 170 członków-pisarzy i 10 tysięcy czytelników), gdzie poznałem m. i. jednego z najwybitniejszych prozaików czeskich, Vaclava Prokópka. Pęk na jego książka dla młodzieży „Nasze żrebiątka” (konie to ulubiony temat Prokópka) powinna bezwzględnie dojechać się przekładu polskiego. Rozmawiam z prozai-

kami i krytykiem Stupką, młodym poetą Popelarem. Opowiadają mi o pracach Kola i jego na szeroką skalę zakreślonym wydawnictwie. Oglądam przesłannicze wydane książki, m. i. i „Lad serca” Andrejewskego. Wydawnictwa Kola ujęte są w pewne cykle, tak więc „Sad” (12 pozycji) obejmuje tylko poezję, „Korona” — klasyków, „Most” — rzeczy krytyczne i esaysy, „Radovanki” i „Slunceznice” — książki dla młodszych i starszych dzieci. Kolo wydaje rocznie od 20 do 30 książek, ma również swój miesięczny organ pt.: „Kolo”.

Odwiedzam i wydawnictwo b. więźniów politycznych, rewolucjonistów narodowych i żołnierzy zagranicznych — „Ml”, założycielami jego są poeci Habrzina i Zatloukal. W ciągu dwu lat ukazało się 45 książek, w tym osiem poetyckich. Podobnie jak i „Kolo” mają swój miesięcznik „List”. W siedzibie „Ml” poznaję też prozaika Jaromira Schafera, który mnie obdarza swą ostatnią powieścią z czasów wojny „R. U.”.

Z tylną ludźmi rozmawiałem w Pradze, tylną poznalem literatów, niektórych tylko przełotnie w kilkunastu minutach rozmowy, jak liryka i tłumacza poezji hiszpańskiej Fr. Nechvatala, innych w dłuższej pogawędce, jak Drahoslava Gavreckiego z Morawskiej Ostrawy, mówiącego doskonale po polsku, który mi opowiedział wiele ciekawych szczegółów z życia Śląska Cieszyńskiego — ale nie sposób tu wszystko przytaczać! Jednak o kilku jeszcze spotkaniach literackich wspomnieć tu muszę. O tych pisarzach, którzy swą piękną pracą przekładową przyczyniają się prawdziwie do zbliżenia naszych bratnich narodów.

P. Helene Talgovą poznałem jeszcze w Polsce bawiąc w lipcu 1946 r. w Sopocie. Już wtedy dowiedziałem się o jej pracy i projektach przekładowych i teraz idąc do jej mieszkania w oddalonej dzielnicy praskiej ciekaw byłem, co z nich zdążyła zrealizować.

Na mój dzwonek odpowiada mi z okna. Za chwilę sama schodzi na dół i otwiera furtkę do ulicy. Piękne mieszkanie, pełne książek, hall i trzy pokoje na dole, schodki na górę, pod oknami za zasłoną oranżeria. Pokazuje mi sześć książek wydanych po wojnie. Ale nie wszystko ma pod ręką, wiele rzeczy jest w druku i ukazuje się wkrótce, wiele na warsztacie. Dorobek imponujący. Bo czegoż tam nie ma! I „Cudzoziemka” Kuncewiczowej, „Dymy nad Birkenau” Sma-

glewskiej (pierwszy nakład 20 tys. egz., drugi 10 tys.), i „Noc” Andrejewskego (8 tys. egz.), która miała najlepszą krytykę w czeskiej prasie literackiej, i „Kordian i cham” Kruczkowskiego, i niemal cała Gajawczyńska, i „Miasto niepokonane” Brandysa, i „W kralnie milczenia” Zukrowskiego, ba, nawet Szajnocha, którego „Walkę o cześć kobiety” w pięknej szacie graficznej otrzymuję z miłą dedykacją. Najmniejszy nakład tych książek — 5 tysięcy egz. Niektóre z nich zostały przełożone jeszcze przed wojną, ale w „Protektoracie” nie mogły się ukazać.

Obecnie P. Teigova pracuje nad Unilowskiem („20 lat życia”) i antologią noweli polskiej o ogromnej rozpiętości, bo od Dąbrownej, Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Pruszyńskiego i in. aż po Sandauera, Hertza, Borowskiego i Papugę — około 20 autorów! W projekcie „Płomień” Brzozowskiego, „Lalka” Prusa i trylogia Goltubiewa „Placówka” w jej nowym przekładzie i „Szkice historyczne” Szajnochę ukaza się w wyd. „Biblioteki Słowiańskich Autorów Klasycznych”, gdzie już wyszła „Stara baśń” Kraszewskiego w tłumaczeniu dr. Beckzi.

Rozmowa schodzi na innych tłumaczy przy polskiej, na p. Galasovą i Heczkovą. Nikt jednak nie ma za sobą takiego obrzydliwego doświadczenia, jak ja. Zartobliwie mówię do P. Teigovej, że powinna otrzymać najbliższą nagrodę polską za przekłady. Odpowiada śmiejąc się, że może jeszcze poczekać, że pierwsza powinna przypaść za tłumaczenia poezji, a więc przede wszystkim sędziemu Adolfowi Czernemu za „Króla Duchy”, albo Halasowi czy Matouszowi za Mickiewicza i Słowackiego. Uderzony ogromem jej osiągnięć przekładowych zapytuję o technikę pracy. Tłumaczy tylko do obiadu, mniej więcej dziesięć stron dziennie, pisze od razu na maszynie, jak mówi „myśli do maszyny”. Rzadko przełoży jeszcze coś po południu, przeznaczając resztę czasu, przeważnie wieczór, na lekturę.

Alle Czesi tłumaczą nie tylko naszą prozę. Oto przed dwoma laty ukazał się świetny przekład „Anhelaga”, dokonany przez Józefa Matousza. Książka ukazała się w przepięknej szacie graficznej, ozdobiona drzeworytami Franciszka Koblika. Jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów czeskich, Frantisek Halas wydał niedawno u Melantricha „Grażynę”, „Konrada Wallenroda”, „Dziady” — wszystkie części, nie wyłączając fragmentów pierwszej i Ustepu. Ścisnie otrzymał za tę pracę odznaczenie nasze. Przekład mistrzowski. I co dziwniejsza Halas nie mówi po polsku. Ten umiający człowiek z piękną, przedwcześnie siwą czupryną nie znajduje słów zachwytu dla naszej poezji romantycznej. Obecnie pracuje nad przekładami „Lilli Wenedy” i „Balladyna”. Ostatnia ma się ukazać na scenie jednego z teatrów praskich. W swej pracy korzysta z pomocy Matousza, który tłumaczy mu dosłownie tekst poetyckiej prozy, a przekład ten Halas później, wni-

kając w budowę utworu, ubiera w szatę wierszową.

Jeśli Halas, jak dotąd, przyswaja językowy czeskiemu naszą poezję romantyczną, poetów współczesnych tłumaczy najwięcej Jan Pilarz. Spędził w jego gościnnym domu na miłą rozmowę przy winie, kawie i papierosach sześć godzin. Przybył nasz wypróbowany przyjaciel, polonista prof. Krejczy, którego odwiedziłem przed kilku dniami, i jeszcze bardziej ożywił nasze zebranie.

Pilarz to młody poeta. Ma lat trzydzieści, co nie przeszkadza, że posiada ogromną lysinę od czola aż ku tyłowi głowy. W ogóle stwierdziłem, że wśród literatów czeskich lysina jest modna. Poznałem panią domu, sympatyczną młodą kobietę w okularach, mówiącą trochę po polsku. Pilarzowie mają najmlodsze wspomnienie z niedawnego miesięcznego pobytu w Polsce. Byli tam z Teigovą i prof. Krejczim. Bawili na Śląsku, odwiedzili Kraków, Warszawę i Poznań, ale do morza nie dotarli. Pilarz pragnąłby ogromnie poznać Bałtyk.

I Pilarz, który ma za sobą liczne przekłady współczesnej poezji polskiej, nie włada polszczyzną. Tłumacząc korzysta z pomocy prof. Krejczy, z którym jest na stopie przyjacielskiej. Przed rokiem ukazała się w jego przekładzie antologia powojennej poezji polskiej „Pochodnia”. Pisałem kiedyś o niej w „Nowinach Literackich” i miałem pewne zastrzeżenia co do niektórych wierszy, uważając, że przekład jest zbyt swobodny. Pilarz przekłada obecnie wiersze dla dzieckich Brzechwy, przygotowuje antologię z Tuwima, tłumaczy Galczyńskiego. Przystąpił również kilka wierszy Przybosa. Zwracam jego uwagę na Czechowicza i obiecuje przysłać kilka tekstów najlepszych jego wierszy.

Wracamy po drugiej w nocy z prof. Krejczim, który opowiada mi o swej pracy uniwersyteckiej. Wykłada obecnie dobę pozytywizmu. Liczba słuchaczy studiujących polonistykę z każdym rokiem wzrasta.

Oprócz Pilarza i wspomnianego już Jaroslava Zavady współczesna poezję polską tłumaczą jeszcze Gajdacz, Gavrecki, Hofmeister, Sojka, Skala i wielu innych. Prof. Parma, urzędnik Ministerstwa Informacji, który mi stale dostrzegł twórczość w teatrach i winiarniach, ma, jak już wspominałem, nie drukowane jeszcze przekład „Lauru olimpijskiego Wierzyńskiego”. Gdy tak myślę o ogromie pracy przekładowej dokonanej przez naszych przyjaciół i porównuję z tym, co się w tej dziedzinie dzieje na naszym gruncie, wstyd mi się robi. Jeszcze z powieścią jako tako. Ale Czesi mają przecież świetną poezję i tacy autorzy, jak Halas, Holan, Nezval, Seifert czy Zavada, że wymienię tylko kilku, zaciekawiliby z pewnością polskiego miłośnika mowy związanej. Czas najwięcej pomyśleć o antologii współczesnej poezji czeskiej nie tylko, żeby się zrewanżować Pilarzowi, ale przede wszystkim dlatego, że poezja ta jest piękna.

Kazimierz Andrzej Jaworski

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 13)

— Proszę księdza, na nie taka robota, grunt ścięty jak żelazo, dziób się tylko po wierzchu, do jutra nie wykopie my dotu.
— Trzeba więc pomalutku, dziób trochę, jutro resztę. Jakby Jan wrócił, to by pomógł.
— Nie! Trzeba inaczej, nie na siłę, tylko z głową — zapalimy ognisko, ziemia odmknie. Przyniosę słomy ze stodoły, a ksiądz niech przywlecze gałęzi. Tam za drzewami jest cały stos susego.
— Myślałem już o tym, ale ogień daleko widać, lepiej w taki czas niczyjej uwagi nie ścigać...
— Przejść się uspokoić całkiem, myślę nawet, że już po wszystkim. Zresztą ksiądz nie musi stać w świetle.
— No tak, uspokoiło się, już i rękiet nie widać... Chyba się Niemcy w las nie będą pchać, można spróbować.
— Zresztą góra zaśnie! Zaraz przywlokę słomy, bo trzeba będzie sporo, nim ziemia odtaje.
— A niech się pan nie zleknie bo na klepsku leży tamten...
Wszedłszy do stodoły, sięgnął Tadeusz za deski sasioka, zapuścił rękę w słomę, gdzie Jan zwykle chował powróz, gdy zmieniał pod kołmi ściółkę. Omijając oczami białawy kształt przysłonięty przęścieradłem, nasmykał słomy, zaciągnął kluczeczek, gniotąc kolaniem grubo sноп. Zrzucił go sobie na plecy. Wrota stodoły bezzwłocznie zamknęły się same, przepłynęły wlotno powietrzem, dopiero drąg zakiełkał krótko o deski.
— No jestem. Czy ma ksiądz zapalki?

— Zapalki i zapalniczke, jestem palaczem i pesymistą — zaśmiał się w ciemności.
Ogień żółtymi jezoramii podwinął noc, zatrzeszczały gałązki i glaste, przysnęły iskrami. Śnieg zaświecił czerwono.
— Znowu tracę czas — pomyślał niecierpliwie Tadeusz — trzeba wiać.
— Niech się ksiądz lepiej cofnie pod drzewa, ostrożność nie zawadzi... Ja też zejdzę ze światła.
Lekko przesunął się między krzewami, zapadł w park. Ogień parsknął tępym odgłos kroków i przyciągał oczy



— No, teraz mogę sobie papierosa zakurzyć — powiedział ksiądz — potem jak się we dwóch weźmiemy... Penie Tadz'u! Gdzież się pan schował?
Obszedł ognisko po krawędzi blasku.
— Uciekł mi szelma, boi się roboty...
Stał pod drzewem zaciągnął się chciwie dymem papierosa. Ale ogień szybko gryzł gałęzi, przysyłał musiał wlec nową stertę, dorzucać i przegrzebywać syczące popielisko.
Właśnie był zajęty zwalaniem całego narecza, gdy usłyszał jak ktoś nadchodzi, był pewny, że to Tadeusz, więc nie odwracając się zawołał:
— Myślałem, że już się panu sprzykrzyło! Patrz pan, taje, aż para idzie!
— Pater! Pater, jak mam iść do szosy?
Usłyszawszy słowa szepcane po niemiecku ksiądz odwrócił się gwałtownie. Za nim stał żołnierz z ręką na temblaku, ciężki hełm rzucał mu cień na miękkie, chłopięce wargi. W zwieszonych lewej ręce trzymał rewolwer, lułą krył w fałdach płaszczka.
— Gdzie pan chce iść?
— Do miasta. Gdzie jest szosa?
Czy był tu już bolszewicy?
— Nie, nie ma ich jeszcze.
— To może są Niemcy? — zapytał z nadzieją.
— Ostatni wycofali się w południe... Ksiądz z trudem dobierał słowa, mówił słabo po niemiecku, powoli budowane zdania brzmiały poważnie, niemal władczo. — Zostaw to — powiedział wreszcie, wskazując na rewolwer.
Żołnierz ukrył zbrojną pięść za plecami.
— Jestem ranny! — zaskomlił — Cały dzień nie jadłem!
— Póki ściszasz broń w garści, ani myślę ci pomagać. Masz nad mną przewagę, jesteś wrogiem...

No, spróbuj do mnie strzelić, zaraz się tu zleca Rosjanie...
— Dobrze, oddam broń, a potem pater mnie wyda na śmierć...
— Jeżeli naprawdę tak myślisz, to po co u mnie szukasz ratunku? Nie będę cię ukrywał, gdy tu przyjdą Rosjanie. Ale teraz, jeżeli będziesz już tylko rannym, cierpiącym człowiekiem, mogę cię wyprowadzić na drogę.
— Niech pater bierze — wyciągnął rewolwer, trzymając go za lułę — Wierzę, że mnie pater nie skrzywdzi...
Ksiądz odebrał mu broń i cisnął daleko w ciemność, słysząc, jak zaryla się w śniegu. Teraz ranny zaczął szepceć:
— Rosjanie nas obeszl, już w południe mieliśmy ich na tyłach. Nie pozwolono nam się wycofać. Byłem ranny, poszedłem na punkt opatrunkowy, ale już nie wróciłem do kompanii. Strzelano ze wszystkich stron. Cały dzień przeleżałem w krzakach. Ja dopiero tydzień jestem w Polsce! Ja naprawdę do nikogo nie strzelałem...
— Ale dziś Niemcy, żołnierze jak ty, zabili u nas jeńca.
— To nie ja, pater, to przecież nie ja!
— Pewnie, że nie ty! Gdybyś był z nimi, nie pytałbyś mnie o drogę.
— Gdzie mam iść? Jeszcze mi noc zostaje, może dogonią batalion.
— Jeżeli nie ma na twoich rękach krwi, czego się lekasz? Noc długa, Rosjanie dopiero na rano zejda w dołnie. Idź tam, na dole jest zamek, zobaczysz światło, zapukaj do kuchni, dadzą ci jeść. Potem pójdiesz, droga jest prosta, jak miniesz bramę, na lewo do miasta.
— Niech pater mnie odprowadzi, boję się sam! Jestem bezbronny...
— Nikt ci krzywdy nie zrobi, my rannych nie zabijamy, idź.
— Ale pater mnie nie posyła na śmierć, pater nie kłamie?

— Nie, wiem, że nie kłamie. Uciekaj już — powiedział rzucając w ogień garść chrustu.
Niemiec cofnął się w ciemność, zaświecił jeszcze trójkątem białej płachty.
— Ja jestem ranny, ciężko ranny, niech mnie pater nie zdradził!

— Co pan tu chce? — Mówiła płynnym po niemiecku, to go uspokoiło.
— Jesć, ale szybko!
— Rozbili was?
Wydało mu się, że lepiej tego nie zdradzać, bał się przyznać, że jest sam, więc powiedział wykrętnie.
— Jestem ranny, zablądziłem.
— Zaraz panu dam jeść, tylko muszę przygrzać. Dobrze, że jeszcze ogień trzymamy pod kuchnią.
Szybłkami ruchami dobyła garczek, naleła mleka, postawiła na blacie. Nalewała patyków na kolanie, wopchała w piec ze złością, aż popiół zadymił Dreptała po ca-



Sprawy

3 KWIETNIA 1949

Nie możemy w tym roku skrzyżować na niedostatek obchodów i uroczystości. Stulecie Wiosny Ludów coraz to daje ku nim sposobność, na murach miast i pobożowskich przybija tablic pamiątkowych, z archiwów i starych czasopiśm, wynikają na światło dzienne mało znane dotąd materiały, a zapowiedziane i już ujawnione drukami wydawnictwa naukowe związane z tą rocznicą dowodzą, że na pewno nie pozostaniemy tutaj jedynie w zakresie obchodowego frazesu i pamiątkowego kamienia. Ze wykonana zostanie solidna praca naukowa, której wyniki świadczą będą wobec potomnych, czym dla wiedzy historycznej Polski Ludowej było stulecie 1848 roku.

Również pesymiści, którzy bili na alarm, że stulecie śmierci Chopina, przypadające wiosną przyszłego roku, zostanie nas nieprzygotowanych, wyraźnie się uspokoił. Ogólnopolski komitet obchodu Roku Chopinowskiego, jego plan uroczystości, koncertów i wydawnictwa zdaje się zapowiadać, że nie powstydzimy się przed światem pamięci o artyście, o którym, jedynym bodaj z dorobku naszej kultury, świat naprawdę pamięta. Dlatego piszę ostrożnie, „zdaje się zapowiadać”, ponieważ rzecz w tym, o ile ów program, szczególnie w swej niełatwej części wydawniczej, zostanie naprawdę wypełniony. Wreszcie na jesieni tego roku przypadnie 75-lecie Polskiej Akademii Umiejętności i 50-lecie twórczości Leopolda Staffa.

Wśród tylu już odprawianych i szybko nadciągających rocznic bodaj wszyscy zapomnieli, że nadejść również dzień 3 kwietnia 1949 roku. Szukacie w pamięci, co ten dzień oznacza? Stulecie śmierci Juliusza Słowackiego. A ponieważ mamy już koniec czerwca, a nikt z bardziej powołanych, od Ministerstwa Kultury i Sztuki zaczynając, tego dotąd nie uczynił, jest chyba ostatnia pora zawołać głośno, że byłby to skandal kulturalny i narodowy na dużą miarę, gdyby wszyscy z racji swojego fachu — historycy literatury i krytycy — i z racji swojego urzędu powołani do pamięci, dzień 3 kwietnia 1949 roku przypomineli sobie dopiero wówczas, kiedy w kalendarzyku historycznym „Przekroju” przeczytają tę datę.

O dwie zasadnicze sprawy chodzi w niniejszym przypomieniu. Pierwsza jest prostsza i nie jest jeszcze za późno ją zorganizować — odpowiednio obchody i uroczystości na wszystkich istniejących szczeblach, Wawel i szkoły, organizacje naukowe i organizacje upowszechniające kulturę. Nawet tragiczne straty kultury naszej i powstańcze rany Warszawy mogą być w tym pomocą, zwłaszcza, by pamięć poety uchronić od szablonu. W krajoobrazie stolicy nie ma dzisiaj owej wyniosłej kolumny, na której w liryku Słowackiego siedziały wędrówne żurawie, a przyzwyczajony do przebywania na wysokościach posąg królowski ze zdziwieniem w galerii Muzeum Narodowego spo-

gląda na przechodniów równo z nim kroczących, zielone oczy Kilińskiego nie spoglądają dzisiaj z szybek Starego Miasta — ale dla pisarza umiającego patrzeć żywo, jak w tym materiał do ukazania Słowackiego w sposób ludzki i dostępny. To, Warszawa. A Kraków, pogrzeb poety...

Nie, przerywamy. Rubryka spraw i zacepek nie jest departamentem obchodowym, a program uczczenia setnej rocznicy zgonu Słowackiego winien być opracowany w skali ogólnopolskiej i dlatego sprawę tę tylko zaznaczam, od razu odstępując ją w bardziej właściwe ręce. Dla tej bowiem rubryki ważniejsza jest druga część sprawy Słowackiego — dzisiejszy stosunek do jego dzieła i postaci. Ten stosunek — bądźmy szczerzy! — niepozobawiony jest

wielu oporów, jakie mogą zaważyć na hołdzie należnym geniuszowi naszej poezji i poetyczności. Poezji i poetyczności, powtarzam. Wzmóżone i nieslabujące zainteresowanie Mickiewiczem odbija się, jak nie raz już bywało, na Słowackim. Dość wspomnieć, że poza opowieścią biograficzną o poecie pióra Pawła Herta, drukowaną we fragmentach przez „Książnicę”, nie opublikowano po wojnie żadnej poważniejszej pracy o poecie. Tymczasem, jeśli chodzi o Mickiewicza, badania samego tylko Kubackiego i rzucity nowego światła na jego genealogie historyczno-literackie, essaye Przybosi ileż blasku na jego dzieła. O Słowackim głucho, ciemno i wcale nie laurowo. Tymczasem wagi i miejsca Słowackiego w poezji polskiej też opory

nie umniejszą, a my jedynie, żyjący w roku 1949, możemy się wydać w przyszłości trochę śmieszni i pretensjonalni.

Jak bardzo o Słowackim głucho, chciałbym udowodnić na przykładzie grubej niesprawiedliwości, jaka spotyka go właśnie na tle rocznicowej daty Wiosny Ludów. Czy przypomniał ktokolwiek losy Słowackiego w tym roku? Jego pobyt w Poznaniu w kwietniu, przymusowy wyjazd do Wrocławia, jego spotkanie z matką, wreszcie, kiedy o idee chodzi, jego Konfederację z marca 1948 roku, akty i manifesty tej kilkudniowej próby politycznej. Fantastyczne pomysły i wypowiedzi Słowackiego, zapowiadającego nadejście epoki świętej anarchii, kiedy bez armat i wojska będzie się zwyciężała samą siłą du-

cha, mógł być piszący o tym ocenić, jak na to zasługują, byleby je w ogóle przypomniał!

Bo nie będziemy na pół mistycznej, a na pół sarmackiej idei Konfederacji porównywać z Legionem Mickiewicza, z jego radykalną, pełną wieszczych przeczuć społecznymi i politycznym realizmu rolę, ale tak zupełnie zapomnieć, tak całkowicie przemilczeć, że Słowacki wraz ze swym kołem młodych (Szczęsny Feliksiński, Andrzej Fredro, Władysław Dzwonkowski i inni) przybył do kraju, że uczestniczył w akcji politycznej, o tym tak całkiem zapomnieć, a wspominać mu jedynie, że zgrzeszył grał na giełdzie, na prawdę się nie godzi. A jeśli już o tej giełdzie mowa, znacznie ciekawsza jest sprawa fortuny filozofa i historyka literatury, kilku-

godzinnego dyktatora krakowskiego z roku 1846, a po Wiosnę Ludów bankiera genezyńskiego i nadwornego finansisty domu sabaudzkiego, Michała Wiszniewskiego, fortuny pomnożonej zakupami akcji według przepowiedni Zygmunta Kraszińskiego dokonany.

Słowacki wiosną 1848 roku był już w kresu sił, wszak nie przeżył kwietnia następnego roku, a los swój przeczuwał dokładnie. — „Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka”. Uciekło całe na paryżki cmentarz, a tylko Norwid w „Czarnych kwiatkach” zapisał jego ostatni wizerunek — „pierwszą widziałem ciałko zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzone... zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łożo od ściany dzieli!”.

Bo nie tylko Mickiewicz czynnem i prawdą wypełnił w roku 1848 rachunek, jaki wystawiło mu sumienie za rok 1831. Słowacki również, a jego rachunek o ileż — tak po ludzku, cieleśnie — był trudniejszy. „Wielkiego miżeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś ty na świat wysłała” — pisał wówczas, sposobiąc się na spotkanie z matką.

W tych rozważaniach celowo pomijam sprawę poezji. Rok 1848 nie był bowiem tylko próbą poezji. O niej zaś, o tym, że rachunek naszego stosunku do Słowackiego, chociaż na razie zamiechany, chociaż na razie pozostawiony na pozycjach dwudziestolecia, nie jest rachunkiem zamkniętym, może kiedyś gdzieś. Tylko jedno — kto sądzi, że wzmógłony (i zrozumiały, nie protestuję) kult dla Mickiewicza z dziejów naszej umysłowości i kultury usunie z pamięci twórcy poetyczności polskiej, naprawdę jest dziecinny.

W „Pierścieniu wielkiej damy” Norwida jest taka scena. Sędzia Durejko opowiada, że na Litwie nie potrzeba wielu wielkości, wystarczy jedna — jak Mickiewicz, to Mickiewicz, jak Radziwiłł, to Radziwiłł. Na to bliski sercu poety rezoner i bohater komedii Szeliga odpowiada ironicznym porównaniem, że

Obelski jednak pojedyncze
Miewają tę niedogodność znaczną,
Ze z nich domu stawić nie
podcbna...
I zaledwo prózne zdołają placc.

Chociaż w wiekowym gmachu poezji polskiej Mickiewicz jest kolumną centralną, przecież jest tylko jedną z jego kolumn, i ubogi, kto obelskości odmienionych nie mieści w swojej pamięci i kulcie. Dzień 3 kwietnia 1949 będzie sprawdzianem, czy wobec rozmiarów odziedziczonego z przeszłości gmachu, nie okażemy się zbyt ubodzy i za mało pojemni.

kjw

Z TEKI KARYKATUR KAROLA FERSTERA



Jean Marcezac



Jean Painlevé



Leon Moussinac



Julien Benda



Jerzy Futrament

jej kuchni śledzona jego uważnymi spojrzniętami. Gdy chciała wyjść po masło do sieni, zastąpił jej drogę.

— Nie wychodzić — powiedział — to co tu jest wystarczy mi...

Na twarz Poznanianki, wysoko pod samymi oczami, zaczęły występować czerwone plamy rumieńca. Powoli ujęła nóż kuchenny i przyciskając duży bochen do zmiękłej piersi, ukroiła kromkę chleba.

— Więc rozgonili was — powiedziała dobitnie — a gdzie są teraz Ruscy?

Skubał chleb i gryzł niecierpliwie, pochylony czoło.

— Na górę, a może już w lesie. Muszę się spieszyć, trzeba uciekać.

Teraz jej ruchy stały się powolne, twarz miała jeszcze bardziej ściągniętą. Niemał macierzyńskim ruchem postawiła przed nim kubek i poklepała po ramieniu.

— Pij, nie bój się!

Podniósł szklankę do warg, chlupnął, zaraz obliznął gwałtownie, mleko parzyło, więc dmuchał. Zdjął hełm i postawił na stole. W świetle lampy zaśnity mu włosy jasne i miękkie, wysoko na skroniach podstrzyżone.

— Nie śpiesz się — przesyłała nagle na ty, przysiadła koło niego i przypatrywała mu się natargiwie. — Powinieneś się rozgrzać, zimno tak leżeć na śniegu...

— O tak, ja jeszcze jestem ranny...

— Widzę przecież. Jak ci na imię?

— Erwin.

— Masz matkę?

— Mam.

— A ojca?

— Żyjają oboje i mam dwie siostry.

— To dobrze...

— Pomóżcie mi nüterchen, jestem jeszcze młody, chcę żyć!

— Każdy tak prosi, jak strach na niego przyjdzie. Każdy by chciał żyć. A mój Władek nawet

nie odezwał się słowem, nie wierzył, że można tak wziąć od rodziny, odpowiedzieć parę krowków i za nic, rozumiesz, za nic...

— O czym pani mówi? — przestraszył się.

— O mężu, zabito mi go w Warszawie.

— Nie byłem nigdy w Warszawie, ja jestem dopiero tydzień w Polsce.



— To nieważne, wystarczy, że jesteś... No pij.

Lykał posłusznie. Po długiej chwili milczenia, gdy skończył, dołała mu jeszcze. Siadła bliżej, łokciem się wsparła na stole.

— Matka cię bardzo kocha?

— O tak, jak jedynaka.

— Masz fotografie? Pokaż?

Niezręcznie wydobyl portfel, wycypany z niego małe zdjęcia amatorki. Cała rodzina za stołem w ogrodzie, kwiaty na obrusie, sielanka. Przeglądała je uważnie.

z napięciem wpatrywała się w nieznane jej, uśmiechnięte twarze. Niemiec usłyszał kroki. Włożył hełm, chciał wstać.

— Siedź, uspokoiła go, to Walercia.

— W imię Ojca i Syna — przęgnęła się kucharka. — A cóż ten tu jeszcze robi...

— Nic. Przyszedł głodny, więc go karmię. No, chodźcie pani bliżej, on już nie straszny...

Ranny kręcił głową, patrzył na obie kobiety, próbując zrozumieć o czym mówią.

— Co ona powiedziała? — zapytał szepem.

— Ze spokoj, możesz iść... Wychodzisz na dół, za bramą szosa, skreścis na prawo, droga do miasta prosta.

— Na prawo?

— Tak przed północą będziesz.

— Gott sei dank!

— Niech pani Walercia przyniesie masła, zrobimy mu kromkę na drogę!

— Jeszcze czego, trucizny bym mu dała, nie chleba!

— Nie rozumie pani, że jak go tu przytrzymamy, muszą go Ruscy dogonić.

— Aleś to pani chytrze wymyśliła — spejrzała czule na Niemca, jak na kure przetrzezoną na zarznięcie.

Ranny nie chciał już dłużej siedzieć.

— Dobranoc! — powiedział. Milczały obie, przypatrywały mu się chwile jak wychodził.

Gdy kroki ucichły, Ratajczakowa uklęka, wsparła się łokciami o krawędź stołu.

— Boże! Boże! — zawołała — nie chcę, żebyś był miłosierny! Słyszysz, nie chcę! Bądź tylko sprawiedliwy! — modliła się z zacziśniętymi pięściami. — Przecież nie pozwoliś mu się uratować!

— Pomaszzerował prosto w ręce Ruskim! — szepnęła mściwie Walercia.

Ale Poznanianka nie była tego pewna, zwiesiła głowę. Pod czołem czuła na deskach miękkie okruszyny świeżego chleba, którym go posilla.

Tadeusz był już pod szczytem. Ognisko błyskało w dole, mimo że skryte garściami wirowały w powietrzu nie było zbyt widoczne. Szedł bardzo ostrożnie, przesunął się od drzewa do drzewa.



Miał już za sobą krótką chwilę, w której bardzo żałował, że nie został przy księdzu, bał się, mógł przecież bez ostrzeżeń zacząć strzelać. Zarówno jeden, jak i drugi. Karabin niewiele mógł mu zrobić w ciemności, ale seria z automatu, lub pepeszy...

— Sto! Kto idiota? — wrzasknięto nagle.

Zanim zdążył odkrzyknąć, usłyszał z boku znajomy głos:

— Wywał rakieta! Możesz znowu sarnę spłoszyć.

— Nie strzelajcie! — zawołał — Swój idzie! Tu Pirat!

Nie wychylił się jednak zza drzewo, zanim wystrzelona rakietą nie rozświeciła się, zawisając tuż nad wierzchołkami drzew. Dojrzał ich kłęczących w krzakach, otaczali go półkołem.

— No, chwala Bogu — powiedział, wychodząc na polankę — zście zaraz nie zaczęli rabać! Szedłem właśnie do was chłopaki!

— To warszawiak z zamku! — usłyszał zdziwiony głos.

Wyskakiwali, ścisnęli mu rękę, gadał jeden przez drugiego.

— Cześć! Jak wam się powodzi? Gdzie komendant?

— Jest tutaj z nami.

— My się od rana po lesie tłuczemy bo jak się Niemcy zaczęli usadzać na Mokronosie...

— Toście nie mogli wysiedzieć u akuszerki?

— Do naszej babulki-skrobulki wladowali się Szwabę z punktem opatrunkowym, trzeba było odskoczyć.

— Ale gościna u niej fajna!

— Bimbru nie żałuje!

— Boi się, żebyśmy jej lba nie ukreślił, więc skacze koło nas stara jak może!

— Ksiądz hajcuje, żeby ziemia odmiekła, chce powieszzonego pochować

— Tam, nad strugą też paru leży!

— A Niemców nakładli jak baranów!

— Nawet ich niebardzo widać, bo mają białutkie kombinony!

— Nie bój się, do rana pokażą się na śniegu. Niech ich tylko chłopcy zwęszą, to zaraz porozbiorają!

— Tfu świnstwo!

— A sam w czym paradujesz?

— Czysty mundur prosto z wagonu, a nie z trupa!

— Tamte się spierze, nie będzie znać!

Czuł dotknięcie przybyłych rąk, wdychał znajomą woń machorki, zleżonych kożuchów i zmarzniętego sukna

— Stuchajcie — położył mu dłoń na ramieniu ktoś wysoki. Gdy zaciągnął się papierosem, Tadeusz poznał dziobatą twarz Znaczonego. — Jak tam jest w zamku?

— Spokój! Droga wolna, komendantcie! Tylko jabym chciał z wami parę słów na osobności...

— Zostańcie towarzysze

Oderwali się od gromady, weszli niedyż drzewa.

— Czy ufacie mi komendantcie?

— No, o co wam chodzi?

— Znamy się niedługo — mówił gwałtownym szepem Tadeusz — wiecie że jestem z AK

— Przecie wam nic nie grozi.

— Nie o to idzie tylko dalbyście mi oddział? Mówię jasno, niejedną robotę odwalalem chwila jest taka, że nie chciałbym zostać na lodzie!

— Powiem wam tak: od jutra obejmujemy władzę. Trzeba będzie patrolować drogi, polapać trochę „okledeńców” utrzymać porządek... Ludzi nam brak.

— No widzicie...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■

„Swantewit“ Perkowski w Poznaniu

„Obecni w dniu 19 czerwca 1948 r. w Teatrze Wielkim w Poznaniu na prapremierze baletu Piotra Perkowskiego „Swantewit“ orzekli niemal jednogłośnie, że spektakl ten przełamuje cykl niepowodzeń polskich premier teatralnych i stał się wydarzeniem artystycznym. Zdanie to wypowiadali zarówno „cywile artystyczn.“, jak i artyści wszelkich branż. Vox populi — vox dei. Należy jednak wyłuszczyć, dlaczego zawodzący dotychczas w kraju — skomplikowany mechanizm teatru muzycznego zaczął funkcjonować bez zarzutu i czemu należy zawdzięczać, że wykonanie „Swantewita“ dorosło do jego poziomu twórczego.

Niewątpliwie, do wysokiego poziomu przedstawienia przyczyniły się w wielkiej mierze — organizacja i praca włożona w przygotowanie spektaklu. Było więcej prób niż zwykle, na dekoracje i kostiumy rozpisano konkurs, wreszcie w przygotowaniu „Swantewita“ wziął udział sam autor, pedantyczny i wymagający Prapremiera „Swantewita“ była więc sumą osiągnięć artystycznych, jakie może dać jedynie połączenie talentu pracy, wiedzy i doświadczenia. W ten sposób współpracującymi przedstawienia stali się oprócz Piotra Perkowskiego, Jerzy Kapliński, Zygmunt Latoszewski i Andrzej Stopka.

Piotr Perkowski, autor kilku dzieł symfonicznych, kameralnych i pieśni, komponował muzykę „Swantewita“ w latach 1929—1930 na zamówienie Opery Warszawskiej, której upadek uniemożliwił wystawienie tego baletu przed wojną. W czasie powstania warszawskiego rękopis „Swantewita“ spłonął. Zrekonstruowany po wojnie, „Swantewit“ został wystawiony po raz pierwszy na scenie Opery Poznańskiej 19. VI. br. Muzyka „Swantewita“ jest przede wszystkim świetnym rozwiązaniem muzycznej formy baletowej; ce-

kuje ją duża plastyka wyrazu oraz równowaga elementów dynamicznych i statycznych. Barwna instrumentacja, wyraźna tematyka i przejrzysta forma, oto co charakteryzuje muzykę „Swantewita“, najistotniejszą jednak jej cechą jest oryginalność. Można się zgodzić albo nie zgodzić z tego rodzaju twórczością, nie podobna

namy. Perkowski czuje się najlepiej w momentach lirycznych (piękny nokturn jest wstępem do trzeciego obrazu „Swantewita“) jego harmonia nie wkracza w dziedzinę atonalności, często natomiast słyszy się u niego zestawienia politonalne. Muzyka twórcy „Swantewita“ jest homofoniczna, jednakże fragmenty takie jak lugato na początku pierw-

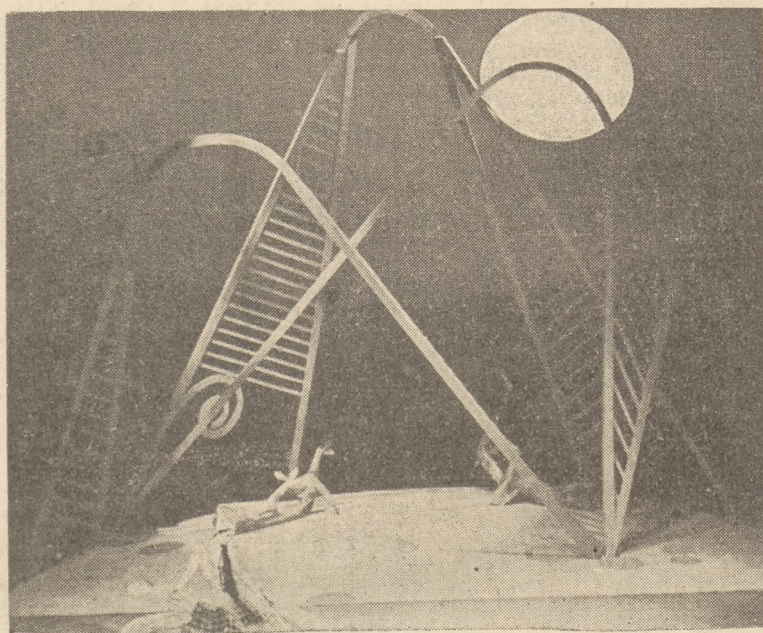
mógł. Wprawdzie taniec nie zawsze oddawał właściwie tej muzyce nastrój; każdy jednak fragment był w swoim rodzaju majstersztykiem kompozycji choreograficznej, a całość doskonale współbrzmiała ze stylem dekoracji i prześlicznych kostiumów.

Andrzej Stopka w prostych, surrealistycznych dekoracjach i kostiumach, umiejętnie operuje kolorem farb i światłem (rzadkość na polskiej scenie).

Motywy dekoracji zaczerpnięte zostały z prasłowiańskich wykopalski rugijskich. Kostiumy — to fantazja artysty, świadomego niemożliwości rekonstrukcji dawnych słowiańskich strojów. Suma wizualnych wrażeń stworzyła wizerunek kolorowej bajki, ożywionej tańcem najlepszego polskiego zespołu, jakim jest balet Opery Poznańskiej.

Zespół taneczny stanął na mocnym gruncie, mając jako podstawę technikę baletu klasycznego. Główną rolę kobiecą „Dzwożony“ powierzono Barbarze Bittnerównie, primabalerinie Opery Poznańskiej. Doskonałymi jej partnerami byli: Czech Stańczyk w roli wiejskiego zucha i Leokadia Zienko jako narzeczona. Wyróżnił się Drzewiecki w roli leśnego dziwadła.

Zygmunt Latoszewski, żegnając Operę Poznańską swoją ostatnią premierą (przenosi się do Filharmonii Warszawskiej) wydobyl z orkiestry wszystkie jej możliwości. Mimo dysproporcji ilościowej pomiędzy poszczególnymi grupami instrumentów (bardzo nieliczne obsadzone kwintet smyczkowy) oraz skłonności instrumentów dętych (szczególnie drewnianych) do negli-



Barbara Bittnerówna na tle dekoracji II obrazu

jej jednak odmówić wyraznych cech indywidualności artystycznej. Całą twórczość Perkowskiego charakteryzuje od samego początku jednolitość stylu. Zarówno jego początkowe pieśni, symfonia, późniejszy koncert skrzypcowy, jak „wojenne“ „Szkice toruńskie“ odznaczają się tymi samymi walorami artystycz-

szego obrazu wskazują na umiejętność operowania stylem polifonicznym.

Wrażenia estetyczne wywołane muzyką, spotęgowały niewątpliwie intencje autora. Najlepszym punktem prapremiery była interpretacja nokturnu przez śpiewaczkę Zofię Chwoyka-Charlampowicz.

Zbigniew Turski

Pan Puntilla i jego parobek

Zurych w czerwcu

Bert Brecht — to jeden z niewielu pisarzy niemieckich, którzy nigdy nie zeszli z zajmowanych pozycji. Kiedy niezliczeni intelektualni Niemcy w czasie hitlerowskiego średniowiecza ulegali koniunkturze i nie mogli, lub nie chcieli rozumieć tego, co się rozgrywa dokoła nich, a potem, zgrozkiem i rozczarowaniem, odgrywali rolę nieszczęśliwych, zawiedzionych pierotów, Brecht wiedział zawsze co słuszne i dobre, co zbrodnice i przestępne. Ostatni jego utwór sceniczny „Pan Puntilla i jego parobek“, którego prapremiera odbyła się 5 czerwca rb. w zuryckim „Schauspielhaus“, będącym jedną dramatyczną sceną Szwajcarii, która i w okresie wojny i po wojnie nie zbroczyła ani od artystycznej, ani od ideologicznej linii, jest jednym z ogniw w łańcuchu niezwykle bogatej twórczości Brechta (O sztuce Brechta „Strach i nędza Trzeciej Rzeszy“, którą w roku ubiegłym wystawił teatr bazylijski, a która we wspaniałych obrazach ukazuje, w jaki to sposób metody hitlerowskie zniekształcają i łamią wszystko, co w świecie mieszczańskim słabe i spróchniałe, pisałem swego czasu w „Odrodzeniu“).

Brecht — emigrant niemiecki: od r. 1934, spędził podczas wojny kilka miesięcy jako uchodźca w Finlandii. Tam wszedł w krąg pisarzy i literatów, zaprzyjaźnił się z wybitną pisarką fińską Heliä Wuolijoki. Pisarka, zajmująca się fińskim folklorem, zaznajomiła Brechta z fińskimi bajkami, baśniami ludowymi, pieśniami i legendami. Zbliżywszy się do tego baśniowego świata, Brecht pokochał Finlandię, zrócił się z jej ludami i krajobrazem. Z tej nowej wiedzy o obcym, nieznanym dotychczas kraju, z tych studiów nad jego baśniami i podaniami, w których bogactwem Puntilla gra dużą rolę, utkał Brecht swą nową komedię.

Jest to rodzaj baśni o wydziewku socjalno-politycznym Puntilla, niespokojny, wędrowny duch, coś w rodzaju Peer Gynta w miniaturze, to człowiek, którego rozsada temperament, który ustawicznie znajduje się w stanie niepokoju i napięcia, który ma chore sumienie. Na zimno, na trzeźwo, jest Puntilla, właściciel obrzymych włości, bezlitosnym eksplloatatorem i wyzyskiwaczem swoich ludzi. Po pijanemu staje się buntownikiem, organizuje przeciwko sobie własnych parobków, jest w stosunku do nich miękki, ciepły, serdeczny. obiecuje im złote góry. Podobna się sobie w tym pijanistwie, ucieka w opary alkoholu, by móc być człowiekiem. W stanie pijanstwa nie znosi samotności. Podobnie jak pijak z chaplinowskich „Światł wielkiego miasta“, który nocami wlezie ze sobą po niezliczonych knajpach i barach biednego Chaplina, mówi mu: przyjacielu, a rano, kiedy otrzeźwieje, każe Charliego którego już nie zna, już nie pamięta, zrzucić ze schodów. Rodzajem Chaplina pana Puntilla jest jego sofer Matti, który przechodzi ze swym panem wszystkie pasyjne

drogi pijatyk, trwających nieraz kilka dni i nocy, tyle tylko, że nie ma, jak Chaplin, złudzeń w stosunku do swego pana. Wie dobrze, że jego pan jest mu przyjacielem tylko wtedy, kiedy alkohol zamroczy mu umysł. Wie, że jego wielkie gesty, jego nieprawdopodobne przygody z kobietami z ludu, którym obiecuje zamki na lodzie — to tylko fanaberie wielkiego pana. Jest spokojny, cierpliwy, bo wie również, że przepaść między biednym i bogatym, między panem i parobkiem nie da się zasypać, że prawdziwa solidarność, prawdziwa przyjaźń tylko wtedy byłaby możliwa, gdyby pan Puntilla i po trzeźwemu potrafił z czegoś zrezygnować, coś oddać, z czegoś ustąpić.

Świat jest obecnie widownią ofensywy wszelkiego rodzaju Puntillów. W Zurychu obradowała niedawno Światowa Unia Liberalistów. W czasie Kongresu przedstawiciele wielkiego kapitału, wielkiej finansjery wzywali do solidaryzmu, wolałi pod adresem robotnika:

Dajmy sobie bracia pyska — swój swego niech uściska!

Nie zasypia również gruszek w popiele dyrygowana z Oxfordu organizacja tzw. Moralnego Uzbrojenia, na której czele stoi amerykański emigrant, z pochodzenia Szwajcar, niejaki p. Buchmann, zaciekle wróg komunizmu, który swego czasu mówił i pisał w Ameryce, że Adolf Hitler — to drugi wielki Mesjasz. Ci ubrajacze moralnie prowadzą również propagandę za pomocą sztuk teatralnych. Jedną z takich sztuk „Zapomniany czynnik“ propagująca solidaryzm przy kawie, którą fabrykant laskawie częstuje przywódcę strajkujących robotników, grana była na różnych scenach szwajcarskich, przy czym bilety nie kosztowały ani centyma. Na tle tej propagandy kapitalistycznego solidaryzmu, antysolidarystyczny utwór Brechta jest drogowskazem dla tych wszystkich, na których zarzucha swe sieci solidaryzm z laski niezliczonych Puntillów, którzy w przeciwieństwie do baśniowego bohatera fińskiego przetrwać są bardzo a bardzo trzeźwi.

Sztuka Brechta, soczysta, krwista, pełna humoru tak dobrze nam znanego z „Opery za trzy grosze“, jest niewątpliwie utworem tendencyjnym, ale autor jej ustrzegł się szczęśliwie używania jedynie barwy białej i czarnej. Biedacy, wydziedziczeni, bezdomni i bezrobotni — nie są w żadnym stopniu aniołami. A pan Puntilla wraz ze swoją świtą, na którą obok parobka-sofera składa się sędzia, adwokat i książyk — to żaden diabeł. Całe to towarzystwo nie może zejść z zajmowanych pozycji wskutek układu sił społecznych. Ale jakiś głos wewnętrzny mówi panu Puntilli, że coś tu jest nie w porządku. W stanie zamroczenia i pijanstwa jest on wewnętrznie biedniejszy od swoich parobków, wie bowiem, że jego świat chyli się ku upadkowi, ginie, gdy tamci wierzą w lepsze jutro.

Nowa sztuka Brechta stawia reżysera przed zadaniem niezwykle

trudnym, gdyż jest połączeniem i pomieszaniem snu i rzeczywistości, realizmu i fantazji, humoru i głębokiej powagi. Teatr zurycki, w którym sztukę Brechta wyreżyserował doskonale Kurt Hirschfeld, dał widowski godne wielkiej europejskiej sceny. Wspaniały był wykonawca roli tytułowej, Steckel. Choć przez cały wieczór nie schodzi ze sceny, ani przez chwilę nie nuży, nie męczy, nie niecierpliwi. Jego ucieczki w świat alkoholu, jego przechodzenie od okrutnej trzeźwości do łzawego opilstwa, przeprowadzone zostały głęboko po ludzku. Parobek-sofer jest w interpretacji artysty Knutha człowiekiem madrym, spokojnym i świadomym. Nawet w scenach granicznych z groteską nie traci wewnętrznej godności. Może najpiękniejsze są sceny, w których fińskie kobiety wiejskie mówią o swoim smutnym, szarym, bezradnym życiu, wypełnionym bezreszty walką o kawałek chleba.

Utwór Brechta, doskonale scenicznie skonstruowany, powinien zainteresować również teatry w Polsce. Nasi panowie Puntillowie nie grają już wprawdzie żadnej roli, nie wynika z tego jednak, by nie było ludzi, którzy do nich ciągle jeszcze wzdychają. Było by dobrze, gdyby ludzie ci zapoznali się ze sztuką Brechta.

— Proszę mnie odwiedzić jutro po południu — powiedział Brecht, kiedy na premierze dziękował mu za wspaniały wieczór. — Mieszkam pod miastem.

Dom, w którym pisarz wraz z żoną, była wybitną aktorką berlińską, znalazł schronienie i zajmując kilkopokojową skromną mansardę na drugim piętrze, z której rozciąga się przepiękny widok na jezioro zuryckie, zawieszony jest nad szosą Zurych-Rapperswil. Brecht przyjmuje mnie w pokoju, który mu służy za pracownię i sypialnię. Czuję się niezbyt dobrze, ma zmęczony wyraz twarzy. To wyczerpanie i zmęczenie tłumaczy się niezawodnie tym, że Brecht, człowiek dziś pięćdziesięcioletni, od długich lat pedzi żywot emigranta, wędrownca. Opuścił Niemcy w r. 1933 po spaleniu Reichstagu, tułał się po Czechosłowacji, Szwajcarii, Danii, Skandynawii. Wreszcie w Finlandii, już w czasie wojny, otrzymał wizę amerykańską i przez Moskwę, Władywostok wyjechał do Kalifornii, gdzie w mieście Santa Monica przeżył długich sześć lat. (W tym samym mieście mieszka dziś jeszcze Lion Feuchtwanger, którego Brecht zalicza do swoich najbliższych).

— Teraz — mówi autor „Puntilla“ — chciałbym wrócić do Niemiec, pracować w Berlinie. Ale jestem bezpaństwowcem. Nie mam tzw. dobrych papierów i Amerykanom z pewnością nie będzie śmieszno z udzieleniem mi wizy. Tak, tak, Ameryka... Nie wiem, czy panu wiadomo, że jesienią roku ubiegłego zostałem wraz z wybitnymi reprezentantami amerykańskiego świata filmowego zaszczycony wze-

waniem do Waszyngtonu. Tam, we wspaniałej sali Kongresu, specjalna komisja, badająca ludzi podejrzanych o sympatie prokomunistyczne, podała mi szczegółowemu przesłuchaniu. Cytowano różne zdania z moich sztuk i książek, które pięknie uporządkowane leżały na stole komisyjnym. Podczas przesłuchania okazało się, że członkowie komisji doskonale wiedzą z kim w Santa Monica utrzymywałem bliższe stosunki, o czym się z ludźmi rozmawiałem. Ameryka nie byłaby Ameryką, gdyby tego przesłuchania, trwającego dobre kilka godzin, nie sfilmowano, nie nagrano na taśmę filmową i gdyby później zerujące na sensacji pisma nie przyniosły artykułów, zaopatrzonych w sensacyjne tytuły. Po powrocie do Kalifornii postanowiłem opuścić Stany Zjednoczone i oto teraz mieszkam w Szwajcarii. Uważam to za provizorium, gdyż chciałbym wrócić wreszcie do Niemiec.

Sztukę o Puntilli napisałem w Finlandii w r. 1941. Obecnie, jak to u mnie w zwyczaju, pracuję nad kilkoma utworami teatralnymi równocześnie. Ale mam przesąd niezdrażania tematów i dlatego nie dowiadam się pan nic bliższego. Zwróciła się do mnie pewna firma szwajcarska z propozycją zbiorowego wydania moich utworów, których liczba jest niemała. Pertraktacje są w toku. Wracając do Puntilla, mam wrażenie, że jakkolwiek w krajach Europy wschodniej i centralnej Puntillowie zostali, żeby się tak wyrazić, zlikwidowani, znalazło by się dla mojej sztuki miejsce i w Polsce, i w Czechosłowacji, i na Węgrzech. Mam również wrażenie, że sztuka moja „Zywt Galileusza“, napisana w r. 1938, mówiąca o trudnościach, na jakie natrafia uczonej w świecie kapitalistycznym, mogłaby być również przełożona i grana nie tylko, jak dotychczas, w Ameryce i Szwajcarii. Puntilla znajduje się prawdopodobnie na scenie jednego z teatrów nowojorskiego Broadwayu, o ile oczywiście Charles Laughton, którego pan zna z pewnością jako jednego z najwybitniejszych aktorów filmowych, zgodzi się zagrać rolę tytułową.

Mówimy jeszcze ogólnie o teatrze, rozmowa schodzi znowu na Amerykę. Zdaniem Brechta, merkantylizacja życia teatralnego w Stanach Zjednoczonych w zupełności to życie sparializowała. Eksperymenty, próby awangardowe, skończyły się, na razie bezpowrotnie, w pierwszym kryzysowym okresie New Dealu, kiedy to szczególnie w New Yorku miało się do czynienia z teatrami, w których grali bezrobotni, kiedy istniał teatr o tendencjach polityczno-społecznych. Dziś sytuacja w Stanach Zjednoczonych wygląda tak, że wartość artystyczna mają niemal jedynie rewie o charakterze music-hallowo-kabaretowym. Strona choreograficzna tych teatrów stoi na poziomie najwyższym, również to wszystko, co jest związane z pieśnią czy piosenką, odpowiada najwyższemu wymaganiam.

Jacek Frühling

ROMAN BRATNY

JAK WYZWISKO

Kiedy ręce unoszę z piórem,
by napisać że cię żegnam
— czuję ból i pot i dreszcz w mięśniach,
jakbym dźwigał Twoją trumnę.

Nie do udźwignięcia, nie do udźwignięcia
monotonne są ręce obie,
którym zabrałeś, z którymi się więcej
nie spotkasz, bo im na to nie pozwolę

Oto wiersz presty jak protokół.
To wiersz presty jak wyzwisko:
nigdy! już nigdy ciebie na oczy...
Cóż zebrałem na t wch warg różnanych śmietniku!

Cóż otrzymałem z twoich rąk
kupowanych przez tyłu, przez tyłu!
Z jakich plugawych łak
zbierałaś szczęście, ciemny, czarny, nocny motylu

Z jakich, motylu ciemny, zbyt ciemny...
ale coż to?
Miałem przecież wśród ogłoszeń z gazety
zapamięć o twoich ustach.

Ale coż — ogłaszają: „szaliki jedwabne“
— a przecież ty miałaś na szyi...
I szyję miałaś smukłą — zwyczajną
i oddychałaś naiwnie.

Ogłaszają: „Zwir“.
Tak, niech wiersz będzie jak zwir,
jak luczona cegła, a rym szorstki jak kit
w chłopskich krzywych okienkach.

Bo w dniach, gdy jeszcze w moim kraju
są niepismienne wioski
ja nad gazetą pochylony płacę
nie nad nędzą — nad moją własną miłością.

Niech wiersz będzie zły
— wiersz, który ją wspomina.
„Sprzedamy samochody“ pisać,
mógłbym do niej jechać, ale jej nima.

Niech wiersz będzie z błędami, niech będzie
chropawy, głupi
— to jest wiersz, którym żegnam szczęście,
które odchodzi, od którego uciekam.

Niech ten wiersz się ośmieszy,
niech ludzie czytając go chichoczą
— ja nie chcę, żeby czytającemu te wiersze
było ciężko jak mnie, gdy wspomnam jej oczy.

Czy wiecie, że ona była odstępowana
przez wszystkich i przeze mnie
— teraz szukam obojętnych słów wśród ogłoszeń, jak skiepowa panna
towarów wśród półek w sklepie.

Kiedy czytam, że rokowania gospodarcze
zakończono szczęśliwie
— raptem gryzę palec
i powtarzam: „szczęśliwie, szczęśliwie“.

I zaraz myślę uspokojony,
że będzie miała tańsze pantofelki i rzeczy powszednie
— interesuję się światłem, bo jest zamknięty
przez nią.

I znowu przypominam: nie ma ciebie
— jesteś pożegnana,
jak gazeta odrzucona i zmięta
podeptana, podeptana.

Ogłaszajcie! Ogłaszajcie!
że istnieje życie, kiedy jej nie ma
— „kupuję!“ — „sprzedaj!“
„Poszukuję inżyniera!“

„Czytajcie Problemy!“
„Opakowania wyrabia tekturowe...“
Raz, gdy kupiła orzechy
przyniosła je w pudełku — było tekturowe.

„Kupujemy srebrny złom!“
Niech ten wiersz was rozśmieszy:
Ona miała rzeszę,
Ona miała dwie ręce. Czy się mówi: dwoje rąk?

„Garderobe cerujemy na miejscu!“
Proszę, zacerujcie laskawie
duszę podartą na strzępy
i serce pocelowane twoimi oczami.

Boże! proszę Cię, spraw to i — bądź!
i niech mi w niebie ziemia tylko będzie
i ona i jej głos,
nawet, gdy mówi: „Już odejdę!“

Czekaj jeszcze, Czekaj! Przebacz.
Popatrz, tyłu ludzi przeczyta
ten list, który wiem, że z bólem ci wciskam
w czerwoną skrzynkę serca.

Więc teraz piszę coś, co tylko ty, tylko ty
pojmiesz:
gdy powiedział pierwsze słowa z pistoletu w odbiornik
wywaliłem mu, jak w głowę.

Pękł cały świat
— podziłka potrzaskana.
Pożegnałem cię, najdroższa moja zła.
Zrozumiałaś? Zrozumiałaś.

Dość. Niech wiersz będzie tak prosty,
by przeczytał go niepismienny
— jak oblok na niebie wiosny,
jak oblok wiosny.

I tak, gdy dudni faszyzm w podziemiach
gdy górnicy strajkują we Francji
ja marnuję apunijcę — komediant —
gdy tam milczą zaatakowani.

I tak, gdy sztandar płynie ponad trony,
gdy zaczynają nastawiać celniki
ja piszę wiersz zły umyślnie, bo niedogdy,
by był lepszy i bardziej do serca prznikał.

Bo są większe sprawy. Tak.
I ja kocham jeszcze ziemię i ludzkość.
Choć mogę plakać przed wirtną, z podobną do twojej bluzką
to bije mi w serce przecież cały świat.

Tak niech ten wiersz zrozumie każdy,
każdy, kto go wysłucha:
do widzenia, Julio. Wolno mi marzyć,
że zapomnę o tobie. Już się śmieję od ucha do ucha.

Wystawa w Muzeum Narodowym

Salon, urządzony w Muzeum Narodowym p.n. Druga Doroczna Wystawa ZPAP Okręgu Warszawskiego, obejmująca: rzeźby, grafiki oraz — najbogatszy (185 eksponatów) — dział malarstwa stalu i węgla; technika olejna, tempera, akwarela, pastel.

Dział grafiki zaopatrzone w rzeczowe i pouczające słowo wstępne artysty-grafika Toma. Podkreślamy to z radością, pisane bowiem przez artystów przedmowy do katalogów zawierają na ogół mało potrzebnych widzowi informacji, skłaniają się zaś często w stronę frazesu. Niestety — w omawianym katalogu dział malarstwa, zamiast rzeczowych i bardzo tym razem pożądanym objaśnień — otrzymał egzaltowane i ogólnikowe zachwyty nad działalnością artysty, pióra p. Wolfa. Wskazując się do prozy poetyckiej (takie np. zwroty, jak „szalenie poetyźny”, „bajeczni uczniowie czarodziejskiego”, „siła, wywołana przez artystę daje życie, nie śmierć. Daje życie, wzbożając nasze istnienie o nowy wylot na nieskończoność”, wreszcie zupełnie truizmy o tajemniczości procesu (wzróżnego) i jest mieszanką przybyszewszczyzny z Holzapflem. Metoda wolaowania procesu twórczego ma tę wygodną stronę, że od razu przetrzuca na widza wszelką odpowiedzialność za nierozumienie dzieła sztuki, lub tego, co mu się jako dzieło sztuki podaje. W tej interpretacji sztuka staje się czymś najzupełniej oderwanym od życia. Zamiast porwać się swego uroku, swych — powiedzmy przynajmniej — zalet, każe podchodzić do dzieła sztuki z półmystycznym „nastawieniem swego wewnętrznego życia” i to — „życia odziedziczonego nie zaś rozumowanego”. Cóż za widok począć w tym wypadku z przeintelektualizowaną sztuką plastyczną ostatniego trzydziestolecia, a zwłaszcza z rysunkiem młodej Francji, z gruntu, jak dotąd, obcym nam osłabieniu? P. Wolf daje i na szemu ogótotu? P. Wolf daje i na szemu odpowiedź w jednym z wczesniejszych swoich artykułów: „Niech ci, którzy nie są w stanie dojrzeć, żądnego zupełnie piękna choćby w wystawionych obecnie współczesnych rysunkach francuskich, nie zwracają nam głowy pięknem, które rzekomo dostrzegają w dziełach Goyi” (podkreślenia moje). Przytoczone zdanie nie tylko nie bierze pod uwagę różnorodności odzwierciedlenia sztuki w społeczeństwie, zalecnie od stopnia wyrobienia i typu uczuciowości widza, lecz odrzuca napastliwym, apodyktycznym tonem, oddając złą przysługę zarówno — plastykowi jak i widzowi.

Dział malarstwa uroczajony jest różnorodnością i bogactwem kolorystycznym. Tematycznie — jak w roku ubiegłym — zainteresowania malarzy idą głównie w kierunku pejzażu; dość wspomnieć, że na 185 prac jest 81 pejzaży, martwych zaś natur — 38. Każdego malarza reprezentują jedna, dwie, najwyżej — trzy prace. Ilość ta nie daje przecież wyobrażenia o skali twórczej artysty. Dzieje się tak np. w przypadku grupy abstrakcjonistów, Stawiewski, którego trzy „Kompozycje streficzne” nie pozwalają się nawet domyślić rodzaju i jakości jego kompozycji figuralnych. Dobrze na tymi kompozycjami sztukię prof. Kowarskiego jego piękny złoty pejzaż. Autor operuje dużymi, bardzo uproszczonymi formami; w elkie zalety ma spokojną, monumentalną kompozycję i pełne umiaru zestawienie złocistości z chłodnymi szarościami we własnej Kowarskiej fakturze (jakiś wyobraziony Segantini). Dziwnym trafem rozłożenie ciemnych i jasnych partii obrazu przypominają nieco rozłożenie płam o różnym natężeniu barw na jednej w wiszących w sali kompozycjach abstrakcyjnych. Oto porównując wrażenia wywołane przez oba obrazy, stwierdzić można, jak dalece nieuzasadniony jest lek przed tematycnością i ponawianiem się próby „oczyszczenia” plastyki z wszystkich skojarzeń wyobrażeń wch. Pejzaż ten stanowi przykład plastyki na wysokim poziomie, przy jednoczesnej dostępności i dużej sile przekonywającej. Pejzaże Arcta użyły ręką wśród naszej publiczności popularność. „Pejzaż wiosenny” bardziej niż inne przypomina barwną tkaninę, spełniając w ten sposób wymogi obecnego malarstwa, nie tracąc jednak przy tym waloru i perspektywy; niewielu pejzażystów to potrafi. Gobelinowy „Ogród Saski” Boculskiego ma oprócz czysto malarzkiego, niezwykłe wartości techniczne, na których mogłoby się użyć młode pokolenie, odnoszące się do pojęcia rzemiosła w sztuce ze zgoła nieuzasadnioną pogardą. Twórczość Centkiewicz-Michalskiej oraz Ł. Michalskiego ulega zmianom, dającym się zaobserwować na każdej wystawie. Tym razem w letnich pejzażach przytulenie i rozbudowanie w północną gamę barwną pogłębia i scala obrazy obojga. Hieratyczność postaci w autoportrecie Michalskiej nie tłumaczy się dostatecznie w zestawieniu z miękkiem ujęciem reszty obrazu. Przykładem inteligentnie przeprowadzonych studiów pejzażowych są prace: Chelwickiej, Sturm de Sztrem, Zaremby-Cybisowej, Wilkanowicza. Pamiętamy natomiast lepsze od obecnych obrazy Wł. Zakrzewskiego, który tym razem zaniedbał nieco kolor na rzecz efektów bardzo zamazywanej faktury. Pejzaż prof. Rafałowskiego ożywił się widocznie

„Płazy”; dobrze umieszczona postać ludzka przecina zdecydowanie płaszczyznę pejzażu, ożywiając je — jak biodraże naczynie martwą naturę. Prócz pejzażu są dwie martwe natury Rafałowskiego z których za tytułowana „Przyjaźń” przedstawia dwa zabawnie przytulone pękate dzbanki, zaprzyjaźnione istotnie, tak formą, jak kolorem. Tempery Teresy Roszkowskiej jak zwykle dekoracyjne i żywe w kolorze i kompozycji. Twórczość Roszkowskiej daje kompozycje figuralne, wybitnie dekoracyjne w założeniu, mocno syntetyzujące z równoczesnym niemal realizmowym ujęciem kwiatów przy utrzymaniu dekoracyjnej całości obrazu. „Gdynia” prof. Rolińskiego malowana szerokimi pociągnięciami utrzymana jest w bogatej gamie szarej. Pełne spokoju w formie, kolorze i kompozycji są prace Malickiego; wyczuwa się w nich — by tak rzec — zadumę. W powściągliwych, dyskretnych efektach pejzażowych celuje Klimaszewska, równie dobra w dziele malarzskim, jak w grafice. Etyudy temperowe Simon-Pietkiewiczowej pokazują jej zdolną malarzkę od strony beztrzęsio, wytworne szkieletu. Twardy pejzaż — konstrukcje Witolda Millera są oryginalne w przekornych, dysonansowych zestawieniach kolorystycznych. W dziedzinie kompozycji figuralnej wyróżnia się J. Poleć którego „Dziewczynka z kurami” należy do najlepszych obrazów na wystawie. „Wojsko” Bieleja ma zarazem monumentalny i dekoracyjny charakter; systematyczne nachylenie postaci ku środkowi, wywołane przez hamowanie koni, rozplanowanie światła z płamami jasnymi koni na środku, dominująca postać z wzniesioną ręką — na drugim planie — wszystko to jest aluzją do renesansowej kompozycji piramidalnej, z nowoczesnym ujęciem koloru i formy.

Nie każda współczesna artystyczna malarskich małżeństw daje równie pomyślne rezultaty, jak u Michalskich. Nic nowego nie wnosi bowiem kubizująca maniera, jakiej ulegli oboje Krajewscy — maniera trudna do przyjęcia wobec ich dawnych osiągnięć. O ile po romańskich geometrycznych rysunkach Villarda de Honnecourt, architekta z XIII wieku, którym szczyty się Francja jako dość wczesnym istotnym prekuzorem kubizmu, mają użytkowość schematu, o tyle w obrazach Krajewskich ani deformacje, ani maniera trójkątkowa nie wydaje się dostatecznie uzasadniona koniecznością artystyczną.

To samo da się powiedzieć o pracy „Stołówka” W. Roszkowskiej, obraz jest wręcz przykre w kolorze, formy słabo i meżące. Zrozumiała jest raczej przyjemnie i jawnie barbarzyńska w kolorze martwa natura Kowarskiej silnie prymitywizująca i przypominająca obecnie malarstwo tahtainskie. Inny rodzaj uproszczenia pokazał R. K. Witkowski w swej apoteozie człowieka pracy — „a spod jego młota — leżą iskry złote” — stanowiące wraz z rozpaloną do czerwoności sztabką metalu jedyny gorący efekt wśród ładnych, gładkich szarości. Obraz jest dobrze skomponowany i — pomimo deformacji rysunkowych — zrozumiały dla najmniej wytrawnego widza.

Uproszczenie form musi być usprawiedliwione założeniami kompozycyjnymi, kolor zaś musi to usproszczenie niejako wynagradzać przywykłym do realizmu widzowi. W przeciwnym razie obraz ma cechy przypadkowości, niedocenydowania na określony typ malarstwa; do takich prac należą m. i. obrazy p. Brosz, słabsze od pokazanych na wystawie Pejzażu Ziem Odzyskanych oraz niektóre partie dużej kompozycji Tworowskiej „Wypocznik”. Prace te zyskałyby chyba wiele, gdyby je sobie wyobraził w mocno zmniejszonym formacie. Ładna, stłumiona gama barwna i przyjemnym rysunkiem operuje Cygańska — Walicka. Wartości rysunkowych nie zaniedbuje również poważnie, w duchu neopresjionizmu, malarstwo Krycha.

Bardzo interesującą wypadła przegląd ujęć kolorystycznych martwej natury u tak różnych malarzy, jak Krych, Burke, Podoskara-Kochowa, Poleć, Sokolowski J. S., Janecka, Obrębska, Pachniewska, Kozłowski. Martwa natura jest chyba jedynym tematem, którego „treść” nie obchodzi dziś nawet nieobytu widza, kierującego całą uwagę na formę i kolor. Będąc dobrym ćwiczeniem dla plastyka, martwa natura jest dla widza szkołą. Dział rysunkowo-graficzny zawiera tym razem przeważnie rysunki tuszem, ołówkiem, sepią, węglem, kredką, akwarelą. Z technik graficznych reprezentowana jest akwaforta, suchoryt i autolitografia. Szkoła że na wystawie dorocznej ZPAP okręgu warszawskiego brak naszych doskonałych drzeworytników.

Wśród akwafort są dwa pełne wyrazu wspomnienia z obozu Kościelnika, który w 46 r. zadebiutował bardzo dobrym cyklem oświetlającym na wystawie „Warszawa od oskarża” w Muzeum Narodowym. Zalety rysunku realizmowego ma „Stajnia” Karniewskiego (znów owo pogardzane „rzemiosło”). Suchoryty Majewskiego, jak zwykle skłonne do lekkiej groteski, mają wiele rozmachu; jego „Praca”, o mocnej — by tak rzec — drapieżnej kreście, dobrze podporządkowuje postaci napięcie kierunkowe. Nie znam twórczości

B. Piprek, ale po raz drugi pokazane główki nadawałyby się raczej na wystawę zbiorową jej twórczości. Witz kontynuuje w obu pracach swą linearną manierę, nie wpadając w abstrakcjonizm.

W dziale rzeźby jest kilka dobrych portretów. Udatnie zsyntetyzowana jest „Głowa” Z. Woźnej. „Portret” Goręłówny w drzewie ma dużo charakteru. Poważny i monumentalny jest brąz Strykiewicza. Łukianow ma nieco słodkawką manierę, w którą łatwo — ze względu na swoją tematykę — mógłby wpaść również Sikora. Ratuje go jednak bardzo silne wyczuwanie dekoracyjności, które np. w „Foranku” tuszuje mite cechy indywidualne modela. Żubry, dzięki swym maszynym formom, stanowią wielką pokusę tematyczną. Dobry żubr Momota jest już trzecim, jakiego ostatnio oglądaliśmy. Portrety zwierząt zmarłej niedawno Magdaleny Gross zatraciły cechy indywidualne, zamieniając się w formy silnie zsyntetyzowane i dekoracyjnie wyglądzące. Jej „Zając” jest uroczy. Rzeźby Zerycha ujmują bezpośredniością; impresyjnie potraktowana głowa warszawskiego gawrocha — Józka „Żywie Torpedy”, wraz z ekspresjonistycznym rysunkiem na cokółku, działa na wyobraźnię warszawianina w sposób, w którym wstruszenie czysto artystyczne trudno oderwać od ładunku uczuciowego. Ogółem biorąc wystawa jest żywsza i bogatsza od zeszlortecznej.

Anna Z. Linke

Notatnik muzyczny

Koncert eliminacyjny, zakończenie sezonu Filharmonii Warszawskiej

Do eliminacyjnego krajowego konkursu chopinowskiego zgłosiło się 23 kandydatów z całej Polski. Był to więc prawdziwy przegląd naszych pianistycznych talentów. Wśród członków jury zasiadali pianiści: Drzewiecki, Koczalski, Szpinalski, Sztompka, Woytowicz i Żurawlew. Wynikami konkursu jest wybór dziesięciu kandydatów, którzy zagrali w sali „Romy” część koncertu Chopina i — opatrzeni aż do czasu konkursu międzynarodowego stypendium w kwocie 25.000 zł miesięcznie — ćwiczyć teraz mają, by w Roku Chopinowskim bronić barw naszych w konkurencji światowej. Komisja złożona z pianistów badać będzie ich postępy. Warto już dziś zasygnalizować nazwiska tych, którzy pokusili się o zdobycie miejsc w eliminacji krajowej.

Najwyższą ilość punktów zdobył 23-letni Łódzianin, Zbigniew Szymonowicz, studiujący, obok fortepianu, kompozycję u prof. Sikorskiego. Po nim idą kolejno, wedle ilości punktów: Waldemar Maciszewski, 21-letni uczeń prof. Drzewieckiego, Regina Smendzianka, uczennica prof. Sztompki, Ryszard Bakst z Wrocławia, Halina Stefanśka — Czerna z Krakowa, Tadeusz Żmudziński z Katowic, Barbara Hesse — Bukowska, najmłodsza wśród pań, pianistka i śpiewaczka, uczennica prof. Langerson z Warszawy, Tadeusz Kerner z Sopot, Władysław Kędra z Warszawy i Julitta Slendzińska z Krakowa. Warto wymienić pozostałych, spośród których niejednemu usłyszymy może w następnej eliminacji i konkursie są to: Jan Draht z Katowic, Adam Harasiewicz, 16-letni beniamin konkursu, uczeń prof. Stojalowskiego z Rzeszowa, Irena Leńska z Bydgoszczy, Jadwiga Matuskiewicz ze Szczecina, Barbara Muszyńska z Krakowa, Wanda Rybarska z Gliwic, Kazimierz Serocki z Warszawy, Aleksander Tabahsbat z Łodzi i Zofia Vogtman z Warszawy.

Jak widać z tego spisu, mamy pianistów w całej Polsce i te pierwsze po wojnie zawody dają nam interesujący przegląd porównawczy, z którego wyłonić się powinny jednostki o „skali międzynarodowej”.

Ostatni w tym sezonie koncert Filharmonii Warszawskiej pozwala nam, dzięki sprawozdaniu dyr. Maklakiewicza, na następujący krótki bilans jej działalności w pierwszym po wojnie roku jej istnienia: Orkiestra składa się z 84 instrumentalistów. Wielka szkoda, że nie doszło do utrzymania chóru, który — choć amatorski — mógł się stać zaletą zespołu, bez którego nie sposób wyobrazić sobie pełnej działalności artystycznej tej placówki muzycznej. W omawianym okresie Filharmonia dała 55 koncertów, z czego 36 wieczorów piątkowych. Wykonano 121 utworów, z czego 42 polskich — 79 obcych. 6 z epoki przedklasycznej, 31 klasycznych, 32 romantycznych i 52 współczesnych. 72.770 słuchaczy przewinęło się przez salę Filharmonii, czyli,

Książki Książki Książki

BELETRYSTYKA

„PIORKIEM FLAMINGA” Wojciecha Żukrowskiego

Katowice, „Awir”, 1948; str. 205 i 2 nl.

Można postawić diagnozę: urocze. To tak, jak gdyby chirurg powiedział „głupstwo, nie warto operować” i odłożył lancet. Opowiadania przewrotne Żukrowskiego są naprawdę urocze i doskonale skomponowane, ciekawe technicznie (kilka chwytów typowo filmowych), dowcipne i pisane językiem gietkim jak ostrze spisy. Ze jest to literatura lżejszego kalibru, literatura na deser — nie szkodzi; gorzej, jeśli ów deser się kruszy i pochodzi z bardzo dawnej uczy. Bo cykl krótkometrażówek Żukrowskiego — to okruchoz ze stołu nadrealistów. Zniszczono jednoznaczność słów, pozorną wiedzę o świecie i pozorne głębokie myśli. Żukrowski stroi miny, przedrzeźnia, niby moralizuje i straszy na dwustu stronach druku, nie pokazując ani na chwilę swej ludzkiej twarzy.

Wiadomo, że ludzie są skłonni nawet bajki traktować serio i mają rację. Ale z bajek Żukrowskiego można zrozumieć tylko jedno: że „dwudziestolecie” w literaturze jeszcze trwa, pełne grymasów i słów, rzuconych beztrzęsio na wiatr,

przewrotnych słów, które rozmaicie mogą zakielkować, bo naprawdę są przewrotne...

Krzysztof Gruszczyński

„NIEURODZAJ”

Kazimierza Zenona Skierskiego

Kraków, Księgarnia św. Anny, 1948 r., str. 388.

„Nieurodzaj” to powieść psychologiczna dawnego typu, w której innowacją jest zastosowanie schematu romansu kryminalnego. Według intencji autora wszelkie zagadki psychologiczne dotyczące głównych bohaterów książki, mają znaleźć rozwiązanie na ostatnich jej stronach, w długiej rozmowie Grzegorza z Tomaszem; tak była w powieści detektywistycznej, gdy oficer policji wyjaśnia wszystkim, w jaki sposób odkrył osobę mordercy.

Zasadnicze pytanie wobec tego brzmiałoby: czy naprawdę wszystko zostało wyswietlone, jak tego wymagają prawidła gry, opisywanej epoki i wybranego środowiska? Odpowiadam się mieć wątpliwości. Pewne rzeczy są wstydliwie zahamowane. Idealizowanie postaci Tomasa przez Grzegorza jest tak mgławicowe, że jedynie czytając między wierszami, możemy się domyślić pewnych wykrzywień psychiki głównej postaci powieści. Postaci kobiecej tej książki — głównie Maria — są wybitnie niesympatyczne. Być może odegrały one pewną rolę w kształtowaniu się Grzegorza, ale to nie zostało w sposób dostatecznie jasny pokazane. Czytając tę książkę, wydaje się czasami, że napisano ją dla wtajemniczonych. W każdym razie „sprawca” nie został właściwie odkryty — przynajmniej dla przeciętnego czytelnika.

Wszystko to razem sprawia, że „Nieurodzaj” jest książką, przynależną do pewnej epoki pisarskiej przez oderwanie się od właściwej dla tej epoki rzeczywistości. Opisu środowiska prawie nie ma — zostało ono sprowadzone do osób, mających bezpośredni wpływ na życie wewnętrzne bohatera, zakorzenionych nie w otaczającym ich świecie, ale właśnie — w Grzegorz.

Liberalizm — czy, jak kto woli, indyferentizm moralny „Nieurodzaju” nie pozwala książki określić jako powieści katolickiej.

Witold Wirpsza

„CALUN”

Bohdana Peplowskiego

Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947; str. 511 i 1 nl.

Stosunek czytelnika do książki Peplowskiego jest taki sam jak do utworów Dołęgi-Mostowicza. Składają się na to wiele przyczyn: zadacie satyryczne, wartka akcja niepozobawiona pierwiastka sensacji i nieskomplikowany układ formalny. Słowem, książka należąca w gruncie rzeczy do owego typu drugorzędnej powieści, którego rehabilitacji jesteśmy właśnie świadkami.

Postawie więc tylko kwestia, czy powieść Peplowskiego jest użyteczna (czy może lepiej — pożyteczna)? Wydaje mi się, że tak. Autor daje dość zręczny — choć nieco powierzchniowy — obraz inteligentnych i „sfer przemysłowych” z pierwszej połowy dwudziestolecia, obnażając zarówno egoizm, jak i właściwe sprężyny „patriotyzmu” tych warstw społecznych. Ponieważ patrzy na te warstwy oczami różnych osób (grupa kolegów szkolnych i frontowych jest właściwym, zbiorowym bohaterem powieści), analiza nie jest jednostronna i, co najważniejsze, bawi czytelnika.

Słowem, jeśli już przypinamy do powieści Peplowskiego etykietkę „drugorzędna”, śmiało możemy to określenie uzupełnić przymiotnikiem „dobra”.

Witold Wirpsza

„POD BLACHA”

J. I. Kraszewskiego

W opracowaniu prof. Wiktora Hahn. Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 1948; str. 328.

W czwartym wydaniu ukazała się znana i ceniona powieść J. I. Kraszewskiego „Pod blachą”. Opracował ją, wstępem i objaśnieniami opatrzył prof. Wiktor Hahn. Od dwóch lat księgarze nasi korzystają znow z puścizny beletrystycznej Kraszewskiego, by zadość uczynić potrzebom czytelnictwa, dać materiał lekturowy szkolnictwu. Wznowienie utworów Kraszewskiego stały się niezbędne i z tego względu, że Niemcy spalili nasze księgozbiory. Podczas okupacji zamarł całkowicie ruch wydawniczy.

Czwarte wydanie trzytomowej powieści J. I. Kraszewskiego „Pod blachą” wyróżnia się wśród powojennych przedkładań pism tego autora niezwykłą sumiennnością. Rzeczowo, przystępnie, fachowo napisany wstęp daje omówienie głównych

czynników tego utworu w rozdziałach, jak „Książę Józef Poniatowski w twórczości J. I. Kraszewskiego”, „Tło historyczne powieści”, „Przewodnia idea powieści”, „Akcja powieści”, „Miejsce akcji”. Ten wstęp przez rzetelność swoją doskonale wprowadza czytelnika w rozumienie treści jak i tego, czym jest ta powieść. Rozdział „Znaczenie powieści” daje perspektywę do oceny utworu. Prof. Wiktor Hahn wstępem tym stworzył wzór, jak tego rodzaju „słowa wstępne” winny być opracowywane, by dać czytelnikowi rzetelny materiał informacyjny pod każdym względem. Zwracają też uwagę sumienne objaśnienia zamieszczone na końcu książki. Znow warto by porównać, co dał prof. Hahn, a co przedkładał inni redaktorzy swym czytelnikom.

Powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego „Pod blachą” na pewno znow wzbudzi szerokie zainteresowanie i wśród nowego powojennego czytelnictwa. Jest ona przecież obrazem z życia Warszawy z czasów pruskiej okupacji sprzed 150 lat. Pokazuje księcia Józefa Poniatowskiego zgodnie z idealizującą tradycją Kajetan Koźmian tak charakteryzował bohatera, marszałka Francji, zdawało by się w owych pruskich czasach lekkoducha.

„Bóg nigdy nie stworzył piękniejszej duszy ani natury nie odziana się powabniejszą i szlachetniejszą postacią. Był w nim prawdziwy ideał rycerza z wszystkimi wdziękami”...

Idealna miłość z Sylwią trochę odbiega od romansowej tradycji tego wojska, jaka utarła się przez pokolenia wśród nas. Kraszewski jednak i w innej powieści, jak „Pomywaczka”, wskazuje, że nie wszystkie kobiety, jakie napotkał książę Józef należały do zaczerpnanego koła jego... „amore profano”.

„Pod blachą” warto odczytać i dla przypomnienia o starej Warszawie, o Jablonnie, o ludziach, o dawnych obyczajach, o zabawach.

Eustachy Czekalski

POEZJA

Siódmy i ósmy zeszyt „ARKUSZA ŚLĄSKIEGO”

Nowe zeszyty „Arkusza Śląskiego” przynoszą wiersze Wilhelma Szewczyka i Wojciecha Żukrowskiego. Zbiory te poprzedzone są notatkami biograficznymi obu pisarzy pióra Z. Hierowskiego Szewczyka, jako poeta dobrze jest znany polskim czytelnikom. Arkusz obecny zawiera kilkanaście liryków, przeważnie dotyczących Śląska lub czepiących swą treść ze wstrząsów społecznych Żukrowski znany jest więcej jako beletrysta. Jego tom opowiadań „Z kraju milczenia” osiągnął duże powodzenie i uznanie. Obecnie opublikowane w „Arkuszu Śląskim” wiersze były kiedyś konspiracyjnie rozpowszechniane i zwąły się „Rdza”, „Modlitwa Armii Podziemnej”, „Przy baterii”, „Zwiad”, „Stary biwak”, „Fieść ulicy” przemawiają bezpośrednio, wzruszają samą obrazową treścią.

Miłośnicy poezji oba te zeszyty „Arkusza Śląskiego” powitają z dużym zadowoleniem.

E. C.

W poprzednim 26 (187) numerze „Odrodzenia” z dnia 27 czerwca 1948 roku: **Maria Dąbrowska:** W piękny letni poranek. — **Andrzej Żdanow:** O zagadnieniach muzyki radzieckiej. — **Stenogram nie-sejmowy,** czyli bób ob. Nosala. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca. — Wiersze czeskie w przekładzie **K. A. Jaworskiego.** — **Wiktor Dyk:** Mówi ziemia. — **Franciszek Hałas:** Nie ma imienia. — **Jarosław Seifert:** *** — **Jan Kott:** O Leonie Chwistku — Książki. **Popularyzacja literatury** („Adam Asnyk” — **Antonicio Mikulskiego;** „Hugo Kolář”; **Tadeusz Czappczyński;** — **Edmund Osmańczyk:** Listy berlińskie: **Dwudziestu Niemców w FEN-Clubie.** — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny. **Wizyta kompozytorów radzieckich,** konkursy, opera. **Film: Jerzy Plazewski:** „Życie Emila Zoli”, film amerykański. — **Lucjan Wolanowski:** „Kulisy wielkiej rewii”, film amerykański. — **Korespondencja: Marek Bogacki:** W sprawie literatury o Chopinie. — **Zofia Wójtowicz:** Puryski językowi a emancypacja kobiet. — **Roman Lutman, Tadeusz Mikulski:** Protest. — **Anatol Stern:** Powieść monograficzna o Leśmianie. — **Polonica wiedeńska.** — **Camere obscura.** 19 ilustracji. — 8 stron.

F I L M

»Casablanca«
film amerykański

Casablanca — niepokojące, po-
łudniowe, białe moszce, mau-
rytańskie tuki, zakwefione Berber-
yjki, palmy na bulwarach, tłumy
Arabów w czerwonych fezach, bia-
łe i ciśnie uliczki, minarety, muez-
zini iupa!

Casablanca z roku 1941 nie była
jednak wcale Casablancą z Bae-
deckera i walną zastawą Michaela
Curtisa jest, że potrafił to dostrzec,
oraz że umiał nas o tym przeko-
nać. Po wszystkich planach obra-
zu każe się Curtis snuć malowni-
czemu, międzynarodowemu towa-
rzystwu: bankierem amsterdams-
kim, jakimś norweskim rozbit-
kiem, pięknym kokotem z Place de
l'Opera, włoskim handlarzem ko-
sztowności, bułgarskim Żydem
malajskim fordanserkom i mu-
rzyńskim śpiewakom rewowym
Wszyscy oni przybyli tu, na kraj
świata, podbitego przez Hitlera,
wpatrzni w dalekie brzozi Portu-
galii. Lizbona, to już wolność...

Zaczyna się od tegoż właśnie tła,
którego nieco umowny autentyzm
przynosi zaszczyt reżyserowi. Tło
jest niezrównane, poczynając od
wnętrza nocnego lokalu, stylizowa-
nego na modłę arabsko - nowojor-
ską, a kończąc na poły czynnym
prześcypy, zastrzelonym pod wiel-
kim portretem Pétaina, opatrzo-
nym cytata: „Dotrzymaj obietnic
własnych i cudzych“.

Najciekawsza bodaj jest cwa at-
mosfera egzotyki, jaką tchnie ca-
ły film. Jest to raczej egzotyka
postaci i stosunków, umiejętnie
dawkowana, niż egzotyka Casa-
blanki - miasta Miasta, po praw-
dzie, niewiele widać. Za to dzień
późniejszy takiego zakątka globu,
nad którym ciąży wprawdzie brun-
atna lapa obersturmbahnführera
Strassera (oryginalny Konrad
Veidt), ale gdzie z cichą aprobatą
francuskiego komendanta Renauta
(oryginalny Claude Rains) dźwięki
Marsylianki mogą jeszcze zagłu-

żyć niemiecki parademarsz (ka-
pitalna scena!) — to egzotyka czy-
stej wody.

O ile reżyser zastąpił sobie na
piątkę, o tyle autorzy scenariusza
nie są wolni od grzechu naiw-
ności. Wiemy zresztą z góry, czego
się spodziewać po amerykańskich
twórcach rozlicznych powiastek o
antyfaszystowskiej konspiracji. Tym
razem niekonsekwencje scenariu-
sza okupili autorzy dostatecznie
przez przysłowiowo amerykańskie
tempo i szczęśliwe uniknięcie dłu-
żym w montażu.

Gra całego zespołu, wśród które-
go blizszy z osiem gwiazd pierw-
szej wielkości, znakomita. Co cie-
kawsze, wielkości nie wchodzą so-
bie wzajemnie w drogę.

Szerzej o jednej z nich. Stawio-
na pod niebiosy przez wszystkie
tuby propagandowe Hollywoodu
Ingrid Bergman okazuje się — o
dziwo! — doskonałą artystką, któ-
ra niezwykle oszczędnie szafując
środkami aktorskiego wyrazu, po-
trafi docierać do prawdy Ani kotu-
row, ani wampowości. Nie-
ledwie skromność aktorska. Jak na
ojczyznę Gret, Marlen i zameryka-
nizowanych Danielek Darrieux —
to bardzo dużo. Maluczo, a moż-
na sobie będzie gratulować rewolu-
cji w poglądach i zdemokratyzo-
waną heroiną amerykańskiego
ekranu.

Ładnietka Ingrid jest bardzo ki-
nową aktorką. Po trudnej, a przy-
tem niezbyt wdzięcznej roli żony
nieugiętego bojownika o wolność,
oscylującej między namilnością, a
bohaterstwem, z dużym zaintere-
sowaniem oczekiwać będziemy jej
następnego filmu. Może bowiem i
taki film zamierza „Film Polski“
zamówić w państwie Mopexas, ja-
ko dodatek do „Tajemnic doktorów
O'Connorsów“?

W każdym razie „Casablanca“,
mimo swych wszystkich wad, jest
dobrym filmem.

Jerzy Płazewski



Julian Huxley, dyrektor naczelny UNESCO, który bawił kilka dni w
Warszawie, interesował się żywo przygotowaniem do mającego się
odbyć we Wrocławiu Kongresu Intelktualistów w obronie pokoju

„Życie jest fraszką“



rys. Marek Rudnicki

— mówi Stanisław Jerzy Lec, które go tom fraszek ukazał się niedawno

CAMERA OBSCURA
GO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia“ z prośbą o współpracę w dziale
„Camera obscura“. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulot-
tek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura“
pod adresem: Redakcja „Odrodzenia“, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Ca-
mera obscura“. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołów-
kiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przysyłki należy dołączyć imię,
nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadanego materiału i za-
strzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą
ręcz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 1000 zł,
którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć
na następny tydzień.

Nagrodę 1000 zł otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Lucjan Kaniew-
ski, Warszawa, Dworkowa 2, m. 4. za wycinek z „Kuźnicy“.

BYŁO BALZAKISTÓW WIELU...

Ryszard Matuszewski tłumaczy w
„Kuźnicy“ rozprawę Lukacsa „O
straconych złudzeniach Balzaka“.

Dwu dni wspólnej obecności w
Paryżu wystarcza, by Lucjan i Lud-
wik de Bargeton rozpoznali w sobie
nawzajem ludzi z prowincji i aby
się nawzajem jeden od drugiego od-
wrócili.

Katastrofa rozgrywa się podczas
wspólnego wieczoru w teatrze.

Prawdziwa katastrofa nastąpiła
jednak przy tłumaczeniu z języka
niemieckiego na polski. Ludwika de
Bargeton zmieniła plec żeńską tę
„Straconych złudzeń“ na — mę-
ską, tę z przekładu. I cóż dziwne-
go, że „się nawzajem jeden od dru-
giego odwrócili“, dwaj mężczyźni?

WIELKIE ODKRYCIE

„Młoda Wieść donosi:

Było to w trzysta niemal lat po
wielkim odkryciu polskiego uczone-
go Mikołaja Kopernika, który w
swym dziele pt.: De Revolutionibus
orbium coelestium“ („O ruchach
ciał niebieskich“) dowiódł, że zię-
mia jest punktem centralnym, na-
około którego obraca się słońce.

Można to łatwo sprawdzić obser-
wując codzienną wędrówkę słońca
po niebie...

PROFESORKA!

W rubryce „Różne“ „Życia Lu-
belskiego“ „śmiesz, tuman, prze-
strasz“ naiwnych czytelników nie-
jaka Irena Trzaskowska:
WP. Trzaskowska, Weteranów 24.
Pani ma wpływ magnetyczny na
ludzi.

Stanisław Łąka

A teraz kwiatki z tej łąki:

Polonistce Irenie Trzaskowskiej
Weteranów 24, dziękuję za wyciecz-
nie z nostalgia. Mgr prawa Janina
Włodzimirska. 129

Pani Profesorko! Prosimy o wytłu-
maczenie poza naukowe tego zja-
wiska Piaseccy. 638

Do Studenki Ireny Trzaskowskiej.
Błogosławie Ci, dziecko na pracę
dla dobra dusz. Twój były spowied-
nik, ks. Bronisław Księżopolski,
Chicago. 180

Pani Ireno! Obiecała Pani, że kiedy
wina moja zostanie zmazana ukaze
mi się sfinks i tak się stało. Zjyta 419

Chłopakom. Mogła zająć mimowol-
na sugestia z mojej strony. Pomy-
ślałam o was wtedy na recitalu
moich poezji, a wy zobaczyliście
mnie każdy gdzie indziej. 839

Irena Trzaskowska

Pani Profesorko. Mamy lat od
osiemnaście do dwudziestu czterech
i nigdy nie mieliśmy żadnych wizji.
Pani żartuje. Prosimy o poważną
odpowiedź „Chłopaki“. 820

Moim chłopakom. Nerwowe dzieci
teraz przychodzą na świat. Musiało
się Wam wydać, że widzieliście
mnie w trzech miejscowościach jed-
nocześnie. Trzaskowska. 672

Do filozofki Ireny Trzaskowskiej.
Dzięki Pani przestałem się dręczyć
przeszłością ukochanej. Mgr Far-
macji Jan Łepicki Bydgoszcz. 182

Janku! To się jeszcze naukowo nie
da wytłumaczyć. Irena Trzaskow-
ska. 602

Do Pani Ireny Trzaskowskiej. Cwi-
czenie nasze się udało, Pani czę-
ściowo materializowała się u nas
i uszyliśmy wymówkę za ciągłe
użycanie Pani. — Kąkolowscy. 346

Droga pani Ireno. Cwiczenie na-
sze udało się. Zmaterializowała się
pani u nas częściowo. Na szczęście
w tej części, na której wymierza się
sprawiedliwość za tumanienie lu-
dzi...

WYPAD

„Express Wieczorny“ donosi:
Grecka armia demokratyczna
wzięła w Egipcie do niewoli całą
76 brygadę ateńską.
Biblijne błagi egipskie...

PRACA

W „Życiu Warszawy“ znajdujemy
następujące ogłoszenie:
Pielęgniarka wychowawczyni, siła
fachowa, przyjmie pracę noworodka.
Koszykowa 51—18, od kuchni.
Uwaga! Przewija się sama!

FRASZKA

W „Szpilkach“ znajdujemy rewe-
lacje o warszawskich marmurach:
Białe i polerowany jest marmur
z Warszawy

Białe mleko, przysłane w sitowiu
z koszary,

Białe ląbedź i białym okrywa się
piórem,

Biała perla, nieczystym zazywana
sznurem.

Ale bielsza mej panny plec twarz
i szyje,

Niż marmur, mleko, ląbedź, perla,
śnieg, lilije.

Andrzej hr. Morsztyn (1613-1693)
Powinno oczywiście być:

Białe i polerowany jest marmur
z Szydłowca,

Białe mleko, przysłane w sitowiu
z koszary...

KOMPLET

W nr 159 „Rzeczypospolitej“ czy-
tamy:

WYCIECZKA STUDENTÓW
WROCLAWSKICH
DO CZĘSTOCHOWY

Na zaproszenie rektora Univer-
sytetu i Politechniki w Brnie wy-
jechała dn. 9 bm. delegacja 6 pro-
fesorów, 125 studentów Univer-
sytetu i Politechniki Wrocławskiej
pod kierownictwem rektora prof.
Kulczyńskiego i prezesa zarządu
wojewódzkiego Towarzystwa Przy-
jaźni Polsko-Czechosłowackiej prof.
Dworzaka na kilkudniową wyciecz-
kę do Brna, Zlina i Morawskiej
Ostrawy. Celem wycieczki jest na-
wiązanie bezpośredniego kontaktu
profesorów i studentów uczelni pol-
skich i czeskosłowackich.

Ach w 160 nr. tego samego dzienni-
ka znajdujemy następującą odpow-
owiedź redakcji:

P. Mond Paweł — Wilków. Z
oferty nie skorzystamy, ponieważ
mamy pełny komplet. —

Czego?

PRZESTĘPCZY ZWIĄZEK

W rubryce „Zguby“ „Expressu
Poznańskiego“ czytamy:

Unieważniam zagubioną legity-
mację członkowską Zw. Zaw. Kel-
nerów i Alkoholików na nazwisko
Zofia Borowiecka — Lipki Wiel-
kie 9.

A czy fioletowy nos nie wystar-
czy jako dowód alkoholizmu?

KANDYDAT

Zbliża się termin przyznania
„Nagrody Odrodzenia“ za tom pro-
zy. Zwracamy uwagę na Mieczy-
siawa Sylwestra, który cicho, bez
rozpowszechnionego wśród litera-
tów reklamowania drukuje już
96-ty odcinek swej powieści na ła-
mach „Kuriera Wielkopolskiego“. Oto
streszczenie poprzednich roz-
działów:

Wywiad niemiecki w Polsce
działa. Tajemnicze światła w ko-
palni „Anastazja“, takie same, jak
na cmentarzu. Sataniści w grobow-
cu. Henrietta i Skrzycki z Riwier-
y wracają do Dreźnie. Tajemnicze
zniknięcia Henrietty pragnie
jawnie detektywu Petroni, którego sa-
taniści po zdemaskowaniu wiążą w
grobowcu. Brzytwka aresztowany
przez Petroni wskazuje policji
grobowiec. Petroni uratowany. Z re-
ki satanistów giną Wnuk i górnik
Flis. Piotrem Owsem interesuje się
Czeliński. Petroni podejrzewa O-
sten-Topolskiego. Zboczenie Gli-
niec ponawia obrzędy satanistyczne,
w czym pomaga mu Piotr Owies.

A oto fragment powieści:

Przewracając się na twardym
swym łożu myślał że smutkiem
o rozchwianiu się wszystkich jego
marzeń o świetnej przyszłości.

Cofamy kandydaturę. Przewra-
camy się ze smutkiem na twardym
swym łożu myślał o rozchwianiu
się naszych nadziei na zatamowa-
nie fali grafomanstwa zalewającej
odcinki powieściowe w dziesiątkach
polskich pism!

KĄCIK DLA KOBIET

W „Robotniku“ czytamy:
POLSKA BIERZE UDZIAŁ W
MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE
KOBIEC

Dn. 5 bm. odbędzie się w Pa-
ryżu uroczyste otwarcie Międz-
narodowej Wystawy, zorganizowa-
nej przez Światową Federację Ko-
biec.

Autora tytułu radzimy wystawić
bez względu na płeć!

Korespondencja

DR IGNACY SCHREIBER —
ZAPOMNIANA OFIARA WOJNY

Do redaktora „Odrodzenia“

Rejestr strat kultury polskiej,
poniesionych w latach 1939 — 45,
mimo niewątpliwie sumiennych
badań i opracowań o charakterze
ogólnym czy też bezpośrednio
związanych z daną dziedziną nau-
ki i kultury, nie jest zamknięty i
wymaga stałych uzupełnień, aby
można było w całości ująć obraz
dokonanych podczas wojny zniszczeń.
Ponieważ terror hitlerowski
nie przebiegał w ofiarach na tere-
nie całej Polski, zdaje się, że jest
konieczne zainteresowanie omia-
nianą sprawą wszystkich miesz-
kańców kraju, w przeciwnym bo-
wiem razie wiele spraw istotnych
ujść może uwadze historii. I tak
na przykład dotychczas pomijano
milczącym fakt zgonu dr. I. Schrei-
bera, człowieka niezwyklej kultu-
ry, autora podstawowej monografii
o komediopisarzu Lubowskim (ob.
Encyklopedię Gutenberga), teatro-
loga, polonisty, zamieszczonego
swe prace m. i. w „Wiadomościach

Literackich“ — (rzecz o gwarze
uczniowskiej).

Na „liście strat kultury polskiej“
prof. B. Olszewicza, liczącej ok.
4400 pozycji, brak dr. Schreibera,
choć są tam nazwiska osób o po-
mniejszym znaczeniu, nawet z te-
go samego terenu pracy, na którym
on przebywał, podajemy więc: dr.
Ignacy Schreiber w chwili wybu-
chu wojny, zdając sobie dobrze
sprawę, czym jest hitleryzm i ja-
kie jest jego prawdziwe oblicze, nie
przedsiębrał ani ucieczki z miasta,
w którym pracował — to jest z
Częstochowy, ani też nie zdecydo-
wał się na przeżycie choćby jed-
nego dnia w niewoli niemieckiej.
Jak prawdziwy pan swego życia,
wybrał śmierć z własnej ręki i zgi-
nął jeszcze w pierwszych dniach
września 1939 r.

Bogata biblioteka dr. Schreibera
i jego prace — jeszcze w rekopi-
sach zostały uratowane i przecho-
wane podczas wojny przez grono
znajomych zmarłego i dziś znajdu-
ją się w rękach dr. K. w Łodzi.

Stanisław Fofalski
(Częstochowa)

NIE JESTEM PIĘKNYM
MODRYM DUNAJEM
Do redaktora „Odrodzenia“

Ze zdziwieniem ujrzałem w po-
przednim numerze „Odrodzenia“
mój podpis pod „Polonicami wie-
deńskimi“.

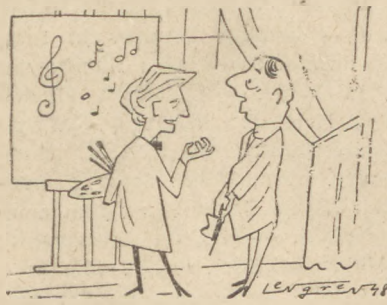
Ostatnio weszło w zwyczaj, że
wszelkie „Viennesiana“ opatruje
się automatycznie moim podpisem.
Otóż oświadczam raz na zawsze

pod słowem honoru: Nie byłem z
Janem Sobieskim pod Wiedniem,
nie skomponowałem walców Stra-
ussa, nie jestem wynalazcą szynela
wiedeńskiego, wołę wodę ognistą
od wody Franciszka Józefa, a co
do wiedeńsk... (zostawmy, żona mo-
ja jest wierna i skrupulatną czy-
telniczką „Odrodzenia“).

Stanisław Jerzy Lec
(zdiwiony w Warszawie)

Polskie Towarzystwo Historyczne wyznaczyło 3 nagrody (w wy-
sokości 250.000, 200.000 i 100.000 zł.) za prace naukowe, dotyczące dzie-
jów Ziemi Odzyskanych (Śląsk, Pomorze, Ziemia Lubuska, Prusy
Wschodnie), wydane w latach 1945 — 1948, lub przedłożone w rekopi-
sie. Prace należy nadsyłać do Sekretariatu Generalnego Polskiego
Towarzystwa Historycznego pod adresem: Warszawa, Uniwersytet,
Instytut Historyczny, doc. dr. Aleksander Gieysztor, do dnia 1 lip-
ca br.

Sąd Konkursowy pod przewodnictwem prof. dr. Kazimierza Ty-
mienckiego ogłosi przyznanie nagrody w dn. 19 września br. we
Wrocławiu w czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków.



rys. Zbigniew Lenart

— Pracuję obecnie nad wprowadze-
nieniem elementów muzycznych
do malarstwa.

OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS

CENA
TOMIKU 15
ZŁOTYCH

PROF. DR. STANISŁAW URBAŃCZYK
JAK ZACZYNANO PISAĆ PO POLSKU

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KIOSKACH I KSIĘGARNIACH

OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS • OMNIBUS